CENA EGZ. 20 GR.

DZIEŃ POLSKI

REDAKCJA
ADMINISTRACJA
WARSZAWA, SZPITALNA 1
TEL. RED. 630-54, ADM. 649-04

CZYTAJCIE DZIŚ:

O WADACH PLANU TARDIEU

BARBUSSOWI ODMÓWIONO WIZY ANGIELSKIEJ

ULGI DLA ROLNICTWA

№ 86. WARSZAWA, Sobota 26 marca 1932 r. Rok IX.

Wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom „Dnia Polskiego“ składamy serdeczne życzenia
WESOŁEGO ALLELUJA!

Wady projektu Tardieu

WIEDEŃ (PAT). „Reichspost“ donosi z Bukaresztu, że koła dyplomatyczne państw południowo-wschodnich sądzą, iż najważniejszą wadą planu Tardieu jest to, że nie uwzględnia on prac przygotowawczych, poczynionych dotychczas na rzecz odbudowy gospodarczej Europy środkowej i wschodniej. Z inicjatywy Polski odbyła się w r. 1930 konferencja 8 państw, która doprowadziła do utworzenia bloku agrarnego. Akcja ta oparła się na koncepcji, że przez podwyższenie siły nabywczej producentów rolnych nastąpi także ożywienie w przemyśle i skutecznie zwalczy się bezrobocie w państwach przemysłowych. Już wtedy wysunięto myśl, by system handlowo-polityczny Europy środkowej i wschodniej oprzeć na nowych podstawach i zasadę największego uprzywilejowania zastąpić przez system ceł preferencyjnych. Wkońcu wybuchła w Europie środkowej burza finansowa, która sparaliżowała na szereg miesięcy wszelką inicjatywę. W każdym razie blok agrarny ukonstytuował się i odbyły się od tego czasu dalsze konferencje (w Bukareszcie, w Białogrodzie i 2 razy w Genewie). Wybrano stały komitet dla studjów gospodarczych i postanowiono założyć międzynarodowy bank agrarny, który z powodu krytycznego położenia międzynarodowego rynku pieniężnego nie mógł rozpocząć swojej działalności. Poważni przedstawiciele polityki Europy środkowej stawiają pytania, dlaczego mają być stwarzane nowe organizacje gospodarcze, skoro możliwe będzie przez rozbudowę istniejących organizacyj, nie obciążonych politycznie, znaleźć wyjście z obecnej sytuacji. Zarzuty te nie pozostały bez rezultatu. Mówi się już teraz o możliwościach znacznej zmiany planu dla rekonstrukcji Europy środkowej.

RADA GOSPODARSTWA NARODOWEGO W RUMUNJI

BUKARESZT. (PAT.). Rząd złożył w izbie projekt ustawy o utworzeniu rady gospodarstwa narodowego przy prezydjum Rady Ministrów. Zadaniem rady będzie ustalanie norm ogólnych polityki gospodarczej państwa występowanie z projektami ustaw gospodarczych i kierowanie stosunkami gospodarczemi z zagranicą. Rada składać się będzie z 23 członków — ministrów i b. ministrów resortów gospodarczych.

GEN. LUDENDORFF POPIERA HUMORYSTYCZNĄ KANDYDATURĘ

MONACHJUM (PAT). Socjalistyczna „Münchener Post“ donosi. Gen. Ludendorff, obecny przewodniczący Tannenbergbundu, wydał do członków związku poufny okólnik, w którym wyjaśnia, że odnosi się do wszystkich kandydatów na prezydenta Rzeszy równie wrogo. Wyjątek stanowi jedynie Winter (odsiadujący obecnie karę więzienia za oszustwo), na którego wszyscy członkowie związku winni głosować.

Ulgi dla rolników

W obliczu ciężkiego kryzysu, jaki przechodzi obecnie rolnictwo, Państw. Bank Rolny zastosował szczegółowy plan ulg dla licznej rzeszy swych dłużników i przystąpił obecnie do jego realizacji.

Ulgi, jakie udzielone zostały dłużnikom Banku, zmierzają zasadniczo w trzech kierunkach: odroczenia spłaty zaległości, przedłużenia okresu spłaty pożyczek i obniżenia oprocentowania.

W szczególności w dziedzinie kredytu długoterminowego w listach zastawnych odraczane będą zaległości z tytułu rat, powstałe przed 1-szym stycznia b. r., na czas do 1-go kwietnia 1933 r., względnie do 1-go października 1934 r., w zależności od kategorji dłużników. Spłaty tych zaległości będą następnie rozkładane na warunkach możliwie dogodnych, przyczem odsetki zwłoki od odroczonych zaległości nie będą wogóle pobierane. Obniżono narazie na rok bieżący oprocentowanie od pożyczek długoterminowych w zależności od kategorji dłużników o 4, względnie o 2% w stosunku rocznym, czyli o 2 albo 1% przy racie półrocznej. Ponadto na życzenie dłużników, którzy zaciągnęli pożyczkę w listach zastawnych na krótsze terminy, przedłużać się będzie okres spłaty tych pożyczek do 30-letniego okresu umorzenia.

Przy pożyczkach długoterminowych w obligacjach meljoracyjnych, zaległości z tytułu rat odroczone zostały narazie do jesieni b. r., a w międzyczasie Bank zbada możliwości płatnicze poszczególnych dłużników i zależnie od wyniku badań ustali ewentualnie dalsze prolongaty. Równocześnie przedłuża się okres trwania tych pożyczek z 15 na 18 lat, w ten sposób, aby spłaty kapitału rozpoczynały się 3 lata później, jak to było dotychczas ustalone. Ponadto zastosowano obniżenie oprocentowania o 2% rocznie za rok 1931 i narazie w racie płatnej 1 kwietnia 1932 r., przyczem w tejże racie część pożyczki, zużyta na budowę odpływów, korzystać będzie z dalszej jeszcze bonifikaty.

W dziale pożyczek, udzielonych z funduszów, administrowanych przez Państw. Bank Rolny, spłaty zaległych należności zostały również odroczone na 2 lata, a odsetki zwłoki od tych zaległości zostały darowane dla tych dłużników, którzy w latach 1932 — 1933 będą w terminie spłacali bieżące raty. Oprocentowanie w roku 1932 podlega obniżeniu dla pewnych kategorji pożyczkobiorców o 1 do 2% w stosunku rocznym. Zostały również przyznane dość znaczne ulgi w spłacie należności rentowych w województwach zachodnich.

Wymienione wyżej ulgi we wszystkich rodzajach kredytów zastosuje Bank jedynie wobec tych dłużników, którzy spłacać będą regularnie bieżące i dalsze raty w terminach ich płatności i nie dopuszczą do ściągania należności Banku w drodze egzekucji. Wobec dłużników, którzy mimo udzielonych ulg, nie będą nadal wywiązywać się ze swych zobowiązań, zostaną wszystkie ulgi cofnięte.

W dziedzinie kredytu krótkoterminowego, Państwowy Bank Rolny stosować będzie jedynie indywidualne i wyjątkowe ulgi, w zależności od rodzaju kredytu i sytuacji materjalnej dłużników.

WYJAZD P. PREZYDENTA RZPLTEJ

Wczoraj, w godzinach popołudniowych, Pan Prezydent Rzplitej wyjechał do Spały, gdzie spędzi święta Wielkanocne.

CHOROBA J. E. KS. BISKUPA ŁOZIŃSKIEGO

Stan chorego biskupa pińskiego, ks. Łozińskiego jest bardzo groźny. Chory musiał się poddać powtórnej operacji.

ROKOWANIA POLSKO-ŁOTEWSKIE

Z Rygi donoszą: Delegacja polska, która w ciągu ostatnich dni prowadziła rokowania z przedstawicielami rządu łotewskiego w sprawie powiększenia eksportu łotewskiego do Polski, wyjechała do Warszawy. Rokowania zostaną wznowione po świętach Wielkiejnocy.

UROCZYSTOŚCI WIELKOTYGODNIOWE W WATYKANIE

CITTA DEL VATICANO (KAP). Ojciec św. celebrował w Wielki Czwartek Mszę św. w sali konsystorjalnej, poczem dorocznym zwyczajem udzielił Komunji św. członkom swego dworu. Obecny był również były król portugalski, Emanuel.

Kardynał sekretarz stanu, jako archiprezbiter Bazyliki Watykańskiej, odprawił w tym samym dniu nabożeństwo pontyfikalne, poczem odbyła się wielka procesja i wystawienie Przen. Sakramentu. Wieczorem odbyła się ceremonja mycia nóg. W tym czasie kopuła Bazyliki po raz pierwszy iluminowaną była odwewnątrz wspaniałemi światłami, co stanowiło niezwykły widok.

POŻAR W LOKALU TELEGRAFU WATYKAŃSKIEGO

RZYM (PAT). Z niewiadomych powodów w lokalach, mieszczących się pod biurem telegrafu watykańskiego, wybuchł pożar, ugaszony natychmiast przez urzędników telegraficznych przed przybyciem watykańskiej straży ogniowej.

STAN OBLĘŻENIA NA GRANICY SOWIECKO-RUMUŃSKIEJ

BUKARESZT (tel. wł.). Dzienniki tutejsze donoszą, że władze sowieckie ogłosiły w dwukilometrowym pasie pogranicznym na granicy z Rumunją stan oblężenia. Każdy, kto bez specjalnego pozwolenia przekroczy ten pas, będzie rozstrzelany.

BARBUSSE'A NIE WPUSZCZONO DO ANGLJI

BERLIN (tel. wł.). Do Londynu przybyć mieli poseł komunistyczny do Reichstagu, Münzenberg i znany pisarz francuski, Barbusse, którzy mieli wziąć udział w meetingu komunistycznym. Władze angielskie w ostatniej chwili odmówiły wiz.

PO ZNIESIENIU PROHIBICJI

HELSINGFORS. (PAT.). Niemal wszystkie lokale publiczne w Helsingforsie, w liczbie około 500, zgłosiły podania o koncesje wyszynkowe. Hotele i restauracje I-ej klasy, ubiegające się o pełne prawa wyszynkowe, nadesłały ogółem 100 zgłoszeń. Równocześnie napływają zgłoszenia ze wszystkich stron kraju.

O JASNE POJĘCIA!

Kiedy dziś jesteśmy świadkami głębokich wahań w systemie gospodarczym świata i poszczególnych krajów, to w parze z tem idzie z pewnością równie głęboki wstrząs w porządku myślenia ludzi o tem, co jest i o tem co nas czeka. Najchętniej wtedy mówi się o załamaniu systemu „kapitalistycznego", przyczem przeciwnicy tego „kapitalizmu" widzą wyjście w „socjalizmie". Niektórzy z obawy przed tym „socjalizmem", na który napatrzyliśmy się w Rosji i w innych państwach częściowo (a którego prozelitów, coprawda dość skostniałych w swoich formułkach, wszędzie znajdziemy) — z pewnym strachem szukają nazw mniej drażniących, mniej odpychających. Inni wreszcie decydują się bronić starych twierdz i starych pojęć.

Przyznaję, iż te spory dotyczą rzeczy niezwykle ważnych, trudno jednak obronić się przed niewątpliwym faktem, iż operuje się w nich ogólnieniami pełnymi nieścisłości, pojęciami nieuporządkowanemi, daleko posuniętemi dowolnościami. Tu szczegół decyduje o całości, tam całość ma całkiem inną treść istotną, niż się myśli, mówiąc o niej.

Będzie z pewnością lepiej dla wszystkich, gdy przestanie się używać jako haseł i szańców pojęć i nazw wprowadzających zamęt a często i panikę. Do takich właśnie zamętowych i panicznych przeciwstawień zaliczam tenże sam „kapitalizm" i ten że sam „socjalizm".

Co to jest „kapitalizm"? Czy to jest system gospodarczy z przed wojny? Czy to jest tylko system prywatnej własności środków produkcji? Ale co to jest produkcja — czy to co określił Smith, czy to, co określa Cassel? Skoro nieekonomiści tak ufają pojęciom ekonomji, niech zapytają ekonomistów co to jest „czynność gospodarcza", co to jest dochód? — i t. d. I kiedy z tych niepewnych pojęć utworzy się piramidę, którą ktoś nazwie „kapitalizmem" — i kiedy w faktycznym procesie gospodarczym zajda zrozumiałe w stosunkach, w których królem jest człowiek, komplikacje, to co tu szwankuje, czy ta cała piramida, czy jej warstwy i które?

Gdy wolnokonkurujący gospodarz nie spełnia swoich obowiązków, jest, oczywiście, źle, gdy prywatny zespół gospodarczy w formie kartelu, nie spełnia swoich obowiązków, jest także źle, gdy państwo-gospodarz nie spełnia swoich obowiązków jest także źle. Czy dziś, po doświadczeniach wolnokonkurujących gospodarzy, monopolu gospodarczego karteli i monopolu gospodarczego związków publicznych, możemy, szukając rozwiązania i polepszenia stanu rzeczy zadowolić się taką n. p. odpowiedzią, że decydującym momentem jest kwestja, kto jest „*właścicielem*" tego warsztatu?

Jeżeli całość gospodarstwa społecznego nie ma cierpieć z takiego uproszczenia sobie zagadnień, to sprawa „*własności*" odgrywa tu rolę drugorzędną, nad którą w *tych* kwestjach *panuje* obowiązek i prawo *kontroli*. Zarówno wymaga jej gospodarka, ściśle prywatna, jak kartelowa, jak państwowa. Oczywiście, kontrola tam, gdzie jest potrzebna i odpowiednio zorganizowana.

A w takim razie problem *własności* należy postawić na innem miejscu. Gdzie? Jeżeli człowiek ma prawo do owocu swojej *pracy*, do tego, co nazywamy *dochodem*, to ma prawo także *oszczędzać*. Jeżeli ma prawo *oszczędzać*, to musi mieć także prawo *lokować*, jeżeli ma prawo *lokować*, to według pojęć dzisiejszej ekonomji w sposób pośredni lub bezpośredni staje się *właścicielem* środków produkcji.

Jeżeli dla celów *produkcyjnych* kwestja *podziału*, kwestja *właściciela* zamienia się z pytania „*kto*" na pytanie „*jak*" (*jak gospodarzy*), to — tamten wniosek o prawie do *rezultatów* pracy, o prawie *oszczędzania*, o prawie *lokaty*, łączy się tutaj nietylko nie tworząc *przeciwstawności*, ale się *uzupełniając*.

Dla mnie problem własności środków produkcji ustala się zatem na dwóch założeniach. Pierwsze, iż człowiek ma prawo do swego „*dochodu*" a powtóre, iż efektywność i pożytek *konkretnego gospodarowania* nie zależy od tego *kto* jest właścicielem, ale od tego, *jak* gospodarzy.

Jeżeliby zatem postawił mi ktoś pytanie, co sądzę, o przyszłości Rosji n. p. to nie zawaham się odpowiedzieć, iż utrwali się tam wcześniej lub później prawo do „*dochodu*", a zatem do „*oszczędności*, a zatem do „*lokaty*", a zatem do posiadania na własność w tej lub innej formie t. zw. „*środków produkcji*". Że ten system ogólno-produkcyjny musi podlegać *kontroli* tak w Rosji, jak i *gdzieindziej*, kontroli co do zakładów prywatnych, skartelizowanych i państwowych także jest rzeczą widoczną. Że ta kontrola musi być *rozsądna*, to także jest jasne.

Ale jak łatwo się domyśleć, *prawo kontroli* będzie musiało mieć *podwójne* oblicze. Jedno, to usuwanie *przejawów anarchji* ze strony *podmiotu* gospodarującego, a drugie, usuwanie anarchji ze strony tych, którzy w ten lub inny sposób *szkodzą procesowi gospodarczemu*, związanemu z nim tak lub inaczej. Czyli innemi słowy, nastąpi ściślejsze określenie sfery swobodnych ruchów dla wszystkich. Ściślejsze określenie sfery swobodnych ruchów, *zakreślenie uprawnień i obowiązków jednostki* doprowadzi do *utrwalenia* pewności posiadania i własności — a nie ich osłabienia. Utrwalone będzie prawo właściciela, tak samo jak utrwalone i zagwarantowane będzie prawo *dla pracującego* w konkretnym warsztacie. Bowiem ludzkość, może nieświadomie jeszcze dażv do *porządku*, a nie do *anarchji*.

Dlaczego ludzkość w swej części rozsądniejszej i uczciwszej dąży do usunięcia inflacji, która tak dała się we znaki do niedawna? Gdyż inflacja przerywa tamy uprawnień i obowiązków, anarchizuje, przeszkadza oszczędzać, przeszkadza w uczciwy i rozumny sposób lokować, pozwalając natomiast żerować hjenom na pobojowisku gospodarczem. Inflacja chwieje pieniądzem, gdy zadaniem pieniądza, niezależnie od epok i systemów gospodarczych jest i zawsze będzie mierzenie wartości materjalnych i pośredniczenie w obrocie.

Dziś więc przeżywamy kryzys z powodu błędów rozmaitego rodzaju i z powodu tego, że złoto jest miernikiem wartości materjalnych, a to złoto odbywa swoją drogę odzyskiwania waloru. Chowają się kapitały, gdyż oczekują nowej podstawy cen, a zatem nowych warunków produkcji, a zatem nowej lokaty. Kryzys choć bardzo bolesny, uczy oszczędzać, nie zaciągać długów, ostrożności w podejmowaniu inicjatywy. Wytrzymany z męstwem do końca da wiele nowych wartości, tak niezbędnych w życiu społecznem i gospodarczem. Oczywiście, iż są i będą przetasowania własności zawinione i niezawinione. Natomiast kryzys może się stać nieszczęściem dla tych krajów, w których panika i zdenerwowanie podsuwają rozwiązania nie tyle oryginalne ile samobójcze. Do takich panicznych nastrojów przyczynia się każdy, kto słusznie konstatując *rozwój i przemiany* w stosunkach gospodarczych, dla ogólnej charakterystyki sytuacji posługuje się pojęciami takiemi jak „załamanie kapitalizmu" i t. d. Człowiek bowiem prosty, a rozsądnie myślący domyśla się i przypuszcza, iż nastąpi zamach na jego oszczędności czy w formie lokaty bankowej, obligacyjnej, czy takiej lub innej nieruchomości lub ruchomości. Poprostu obawia się, że ludzkość przejdzie nową fazę bolszewizmu, to jest rabunku, mordu i grabieży. Tak samo uważam za paniczne i histeryczne (a co gorsze: niebezpieczne), te głosy, które upatrują w przemianach i kryzysie pochód do „socjalizmu", który znowu dla przeciętnego, rozumnego człowieka nie jest niczem innem, jak nowem wydaniem bolszewizmu.

Zamiast operować nazwami i pojęciami, płynnemi, niejasnemi, a zatem mniej lub więcej bałamutnemi, zatrzymajmy uwagę na samych rzeczach na ich związkach i zależności. Jeśli je uchwycimy dobrze, kwestja nazwy jest kwestją drugorzędna. Jasne pojęcia gospodarczo-społeczne są dziś szczególnie potrzebne, droga jednak do nich idzie przez krytyczne analizowanie żargonu „kapitalistyczno - socjalistycznego", który więcej zaciemnia niż wyjaśnia i przez doszukiwanie się w procesie gospodarczym elementów prostych, zatem niewątpliwych, tudzież dopiero następne z kolei utrwalanie pojęć i nomenklatur użytecznych i dość ścisłych.

Ignacy Czuma

STARE A NOWE METODY NAUCZANIA

Ostatnio opinja publiczna poruszona została zagadnieniem reformy szkolnictwa. Wiele bardzo argumentów zużyto na to, ażeby rozstrzygnąć, co jest lepsze siedmio czy czteroklasowa szkoła powszechna; czy ma być liceum przygotowawcze do uniwersytetu, czy też jest ono zbyteczne lub nawet szkodliwe; wreszcie — kwestja ogromnie interesująca zawodowych polityków — czy szkoła ma szczepić młodzieży kult wielkich mężów, kierujących państwem, czy też powinna ona tu zająć stanowisko neutralne. Opinja publiczna może niezupełnie zdaje sobie sprawę, że chociaż dyskusji w powyższych kwestjach nie można odmawiać wielkiego znaczenia, to jednak nie dotknęła ona wcale tego, co dla szkolnictwa zawsze będzie najważniejsze, bo związane bezpośrednio z celem istnienia szkoły, t. j. **metody nauczania**. Tymczasem tutaj tkwi właśnie źródło wielkich niedomagań naszego szkolnictwa, które przez żadną reformę jego organizacji nie mogą być usunięte. Czy uczeń będzie chodził przez siedem lat, czy tylko przez cztery do szkoły powszechnej, czy przed uniwersytetem będzie, czy nie będzie uczęszczał do przygotowawczego liceum, to są zagadnienia, posiadające niewątpliwie pewne znaczenie dla jego wykształcenia, ale które nie zadecydują o nim tak ostatecznie, jak odpowiedź na pytanie, czego i jak się w tych, tak lub inaczej nazwanych, tak lub inaczej zorganizowanych szkołach będzie uczył.

Ażeby wagę tego zagadnienia zrozumieć, należy przedewszystkiem uprzytomnić sobie rolę, jaką w starych przedwojennych metodach nauczania powierzano trzem stadjom wychowania publicznego, a mianowicie: szkolnictwu początkowemu, średniemu i akademickiemu i porównać z tem zadaniem, które otrzymały one obecnie na podstawie nowych powojennych prądów w pedagogice. Stare metody nauczania najskuteczniej i najbezwzględniej zastosowane zostały w Niemczech, a nowe oczywiście w narodzie najbardziej skłonnym do przejmowania najróżniejszych nieprzetrawionych nowinek. Gdy bowiem odrzucimy więzy zasad, opartych na doświadczeniu, to **spiritus flat ubi vult**, a na tem właśnie naszej polskiej podświadomości najbardziej zależy.

Stare metody powierzały szkolnictwu początkowemu zadanie dostarczenia uczniowi elementarnych wiadomości i umiejętności, które w danych warunkach życia kulturalnego są niezbędne każdemu obywatelowi państwa. Od średniego szkolnictwa (gimnazjum) wymagały już czegoś więcej, niż dostarczenia uczniom pewnej mniejszej lub większej sumy wiadomości. Tutaj chodziło przedewszystkiem o to, ażeby jaknajbardziej rozwinąć zdolności umysłowe ucznia, a więc pamięć i zdolność rozumowania.

Po skończeniu szkoły średniej uczeń wchodził w życie wprawdzie z masą, w pewnej mierze, niepotrzebnych mu wiadomości, ale z umysłem wygimnastykowanym, giętkim i elastycznym oraz charakterem wyrobionym w ciężkiej umysłowej pracy. Był więc gotowym do podjęcia każdego zadania życiowego, a między innemi także do samodzielnej pracy naukowej w wyższym zakładzie naukowym w tej dziedzinie wiedzy, którą chciał zgłębić, ażeby się wyspecjalizować. Stąd także ta wielka różnica w traktowaniu ucznia szkoły średniej i studenta uniwersytetu, która się zaznaczyła najwyraźniej w Niemczech.

Pedagog niemiecki mówił do maturzysty, wstępującego do uniwersytetu: „Zadaniem szkoły średniej było usprawnić twój umysł i wyrobić charakter. Tego bez zastosowania ostrego przymusu osiągnąć niepodobna. Teraz jednak czekają cię zupełnie inne zadania, a mianowicie zadania zgłębienia pewnej dziedziny wiedzy oraz wykazania zdolności do samodzielnej metodycznej pracy naukowej. Tutaj przymus byłby wręcz szkodliwy, bo prowadziłby do zmechanizowania tej działalności, która ma mieć charakter twórczy. Jeżeli do takiej pracy zdolny nie jesteś, to lepiej, żebyś nie kończył uniwersytetu, lecz wziął się odrazu do praktycznej działalności. To też nikt cię nie będzie przymuszał i kontrolował, a w jednym ostatecznym egzaminie, któremu cię

Na widowni

Z ZAMKU KRÓLEWSKIEGO

Pan Prezydent Rzplitej przyjął w dniu 24 b. m. p. inż. Józefa Gallota, który przedstawił się Panu Prezydentowi w charakterze podsekretarza stanu w Ministerjum Komunikacji.

ZAMIAST ŻYCZEŃ ŚWIĄTECZNYCH

Zamiast życzeń świątecznych minister Spr. Wewn., p. Pieracki, złożył 200 zł. do dyspozycji Naczelnego Komitetu do Spraw Bezrobocia.

poddamy, będzie nas bardziej interesować to, czy potrafisz samodzielnie i metodycznie myśleć, niż to, jaką sumę wiadomości zdołałeś sobie przyswoić".

Konsekwentnemu i bezwzględnemu przeprodzeniu tego systemu wychowania i nauczania tak znakomicie przystosowanemu do natury człowieka w poszczególnych stadjach jego rozwoju, zawdzięczały Niemcy swój olbrzymi rozkwit w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku w dziedzinie techniki i ekonomiki.

Zwolennicy obecnie stosowanych metod wychowawczych w Polsce zajmują odmienne stanowisko w stosunku do szkoły średniej. Przedewszystkiem doszli do wniosku, że szkoła średnia przeciąża umysł ucznia niepotrzebnemi wiadomościami, a zamało wyrabia w nim zdolności do samodzielnego twórczego myślenia. Uczeń powinien być **współtwórcą** w własnem wychowaniu! Dlatego też naprzykład w nauce historii odrzuca się wszelkie daty. Czytając jeden ze szkolnych podręczników historji, będących obecnie w użyciu, miałem wrażenie, że wraz ze wszystkiemi faktami historycznemi znajduję się poza wymiarem czasu. A przecież czas ma przynajmniej takie same znaczenie w historji, jak przestrzeń w geografji!

Ochraniając troskliwie pamięć ucznia przed zbytniem przeciążeniem (a zatem i wyrobieniem) kładzie się szczególny nacisk na **pogłebienie** jego poglądów na znaczenie ważniejszych okresów historycznych, ażeby w ten sposób wyrobić w nim zdolności do samodzielnego twórczego myślenia, pilnie bacząc, ażeby do jego głowy nic takiego się nie dostało, coby później mogło stamtąd wylecieć.

Skutki takiej metody są opłakane! Przedewszystkiem bowiem „pogłebione poglądy" w młodocianych umysłach także mają skrzydła i gotowe są ulecieć, tembardziej, że nie znajdują żadnego zaczepienia w rozkładzie czasu, a następnie: umysł młodzieńczy, który wykazuje olbrzymią zdolność do pamięciowego przyswojenia sobie wiadomości zzewnątrz i do rozwoju swojej sprawności, jest przeważnie niezdolny do twórczego samodzielnego myślenia. Tak samo jak nie można żądać od cielęcia, ażeby nam dawało mleko, od źrebaczka, ażeby pług ciągnął, albo wziął nagrodę na wyścigach, tak samo od tak fizycznie i moralnie niedojrzałej istoty, jaką jest uczeń gimnazjalny, nie wolno nam żądać samodzielnej twórczości, która musi pozostać przywilejem dojrzałości!

To też kiedy ten „współtwórca" z nieusprawnioną pamięcią i niewyrobioną zdolnością do logicznego i konsekwentnego formułowania swoich myśli oraz, o dziwo! także i bez pogłębionych poglądów, wstępuje na uniwersytet, to tak mało się nadaje do samodzielnej metodycznej pracy naukowej, że odrazu z niej rezygnuje, a natomiast ogranicza się tylko do pamięciowego wykuwania profesorskich skryptów.

Wtedy, kiedy powinien był wyrabiać umysł i gromadzić wiadomości, to usiłował pracować samodzielnie i twórczo, a teraz, kiedy właśnie przyszedł czas na twórczość, to on gromadzi tylko wiadomości, bo do samodzielnej twórczej pracy brak mu koniecznego narzędzia, jakim jest usprawniony do logicznego i konsekwentnego rozumowania umysł.

Zwolennicy tych nowych, a tak błędnych metod nauczania w szkole średniej tłumaczą ich dotychczasowe ujemne rezultaty okolicznością, że dotąd były one niedość konsekwentnie i umiejętnie stosowane. Starze metody obalono, a nowych w pełnej krasie nie zaprowadzono. Niebezpieczne złudzenie! Błąd tkwi nie w wykonaniu, lecz w samej tendencji, która sprawie, że szkoła średnia usiłuje dać uczniowi to, czego on przyjąć nie jest w możności, a natomiast nie daje tego, co on przyjąć może i czego do dalszego pełnego rozwoju mu potrzeba.

Al. Chrząszczewski.

O LOSY RAPPERSWILU

Kilkadziesiąt lat emigracji zdołało wybić na Rapperswilu pewne piętno polskości. Nie jest ono obecnie już tak żywe i wyraźne, jak do niedawna, jak np. podczas wojny. Kto pamięta jednak polskie oblicze Mekki emigracyjnej, odnajdzie jeszcze i dziś zacierające się powoli ślady.

Jeszcze lśni się nawprost przystani napis na hotelu Schwanen: „Pod Łabędziem". Jeszcze jest zamek w polskich rękach, jeszcze tkwią w pamięci Szwajcarów żywe wspomnienia tłumnych zjazdów Polaków (manifestacja w setną rocznicę śmierci Kościuszki 1917 r.) i stały napływ turystów, żadnych zwiedzenia Muzeum Narodowego Polskiego.

W całym zakątku Szwajcarji nie było piękniejszego i odpowiedniejszego miejsca na utworzenie wszechświatowej placówki polskiej. Ogromny masyw zamku, pamiętającego wiek XIII i władanie Habsburgów, wznosi się wysoko nad miasteczkiem przytulonem do jego podnóża. Otoczony z obu stron jeziorem zuryskiem—Rapperswil z wyniosłym zamkiem na szczycie, sprawia wrażenie zazdrośnie przechowanego grodziszcza średniowiecznego.

Ileż było satysfakcji dla polskich tułaczy niewoli — móc wskazać nań i powiedzieć: P o l s k i e Muzeum Narodowe!

Nad rynkiem miasta, z którego prowadzi do zamku szeroka kaskada schodów, wznosi się napis: „Polnische Ausstellung". Zapowiedź — frapująca. Gdy się podchodzi do bramy, widącej na podwórzec, szczególne uczucie ogarnia: nad podwojami widnieje herb Korony-Litwy-Rusi, po bokach miedziorytu z Jadwigą i Kazimierzem W. Zaśniedziałe, poczerniałe — mają polor tak sędziwej starożytności, że mimowoli ma się wrażenie, że to odwiecznie „nasz" zamek rycerski z ziemi koroniarzy.

Słynna kolumna barska, postawiona w setną rocznicę konfederacji nadaje dziwnie szlachetne piętno mrocznemu podwórcowi. Portjer z zapałem wygłasza turystom z pamięci słowa, wyryte na czterech tablicach u podstawy kolumny. Słowa te są tak piękne i tak jakoś nie ze świata rzeczywistości, z jakiejś odległej, pięknej, choć ciernistej przeszłości, że jedynie skupienie i pokorna cisza mogą być ich odpowiedzią.

Wejść do muzeum, pełnego niegdyś życia, a teraz cichego i głuchego, odwiedzić wysokie komnaty, strojne dawniej w ogromne mapy Rzeczypospolitej, obrazy, zbiory zbroic, pamiątek, zasobną bibljotekę, a obecnie stojącego pustką i zasłaniającego ją małą (choć ciekawą) czasową wystawą ludową i resztkami zbiorów bez wartości, odwiedzić kapliczkę, gdzie było serce Kościuszki, ogołocona z darów, gdzie pozostała zapomniana szarfa wieńca i pocztówka z napisem: „Jeszcze Polska nie zginęła" — nastraja to melancholijnie tego, kto mógł porównać przeszłość z teraźniejszością.

Rapperswil jest pozbawiony zbiorów, które przeszły w r. 1927 r. do Warszawy, jako przekazane przez Wł. Platera, założyciela muzeum, narodowi. Dzierżawa polska biegnie jednak jeszcze do r. 1969 i do tego czasu muzeum pozostanie przy nas. A zatem nie można tracić tego rozgłosu, jaki miał Rapperswil dla turystyki i zanim wspomnienie o tem nie przeminie, należy znów odrodzić znaczenie muzeum.

Troska o dalszy los muzeum, przyczyniła się do wysuwania — już w czasie wojny — różnych projektów w przewidywaniu powrotu zbiorów do kraju. Różniły się one od siebie dość znacznie. Były one następujące: 1) utworzyć instytut, stację naukowo - polityczną, dającą pełniejszy obraz kultury, siły i dążeń Polski. Dział muzealny i bibljoteczny utworzone byłyby à fond, z dubletów krajowych, by dały cudzoziemcom pewien całokształt (St. Zieliński „Wiadomości Polskie" 1917 r., Nr. 140).

2) zerwać z propagandą polskiej wiedzy i utworzyć wystawę Polski obecnej, handlowej i przemysłowej, targi polskie z eksponatami próbek, afiszami, biurem adresowem (A. Lewak, „Przegląd Warszawski" 31 (1925 r.),

3) projekt instytutu, podobnie jak 1) z dodaniem działu sztuki (sztychów), polityczno - krajoznawczego, oświaty i społecznego. Stała wystawa książki polskiej. Rodzaj biura zakupów i reklamy. (O. Halecki „Przegląd Warszawski" Nr. 34 1925 r.).

Niewątpliwie projekty te dałyby się pogodzić, gdyż wzajemnie się uzupełniają. W przyszłości muzeum mogłoby dawać cudzoziemcowi (o którego teraz przedewszystkiem chodzi), przekrój Polski w dwóch kierunkach: aktualnym oraz historycznym. Odpada sama przez się rola poprzednia, t. j. pretendowanie do roli placówki naukowej strictu senso, posiadającej zbiory z pierwszej ręki o wartości źródłowej, oryginału, archiwum i muzeum we właściwem znaczeniu.

Zanim dojdzie do przedstawienia w muzeum pełnego obrazu Polski na tle jej historji, kultury, obecnej gospodarki i jej wartości ekonomicznej— praca nad tą placówką propagandową może pójść etapami. W tym kierunku idą próby, jakkolwiek jeszcze słabo i nieśmiało. Mianowicie przedewszystkiem można utworzyć z Rapperswilu stałą wystawę polskich eksponatów, wysyłanych na targi poznańskie, lwowskie i wileńskie, po ich zamknięciu. Muszą tu pomóc zarządy tych targów. Zurych jest miastem par excellence handlowem i w części przemysłowem i na tym punkcie jest wrażliwy; w ten sposób można nietylko przemówić do przeciętnego Szwajcara, lecz pobudzić go do aktywnej współpracy i postawić na nogi propagandę polską, bardzo kulejącą. Szwajcar powojenny już stracił — lub traci ten sentyment do kraju ciemiężonego, jaki miał dla Polski; mało go obecnie obchodzą polskie kwestje narodowościowe, czy graniczne. O stosunku jego do kraju decyduje przedewszystkiem realna wartość ekonomiczna. Ponieważ eksporterzy polscy — czy z braku funduszów, czy przedsiębiorczości — nie docierają do sfer importu szwajcarskiego (z wyjątkiem drzewa, węgla, ziemniaków), wystawa eksponatów, poparta reklamą, conajmniej równą reklamie targów wiedeńskich, lipskich, — spowoduje zwrócenie uwagi na Rapperswil.

Potem będzie celowe częściowe uzupełnianie działu historycznego kulturalnego, naukowego i t. d. Wystawa eksponatów musi być oczywiście połączona z odpowiedniem oświetleniem struktury gospodarczej Polski, a więc przez mapy statystyczne, geologiczne i inne, porównawcze. (Na krużganku z zamku na wieże miejsce herbów miast i ziem polskich, z napisami, których portjer nigdy nie wymówi, mogą zastąpić artystyczne reklamy turystyczne P. K. P.).

Jak wspomniałem, pracę nad postawieniem muzeum na właściwym poziomie traktuje się bardzo nieśmiało, może sądząc, że w obecnym kryzysie jest wiele innych ważniejszych spraw. Trzeba jednak pamiętać o tym dorobku rozgłosu zamku polskiego, który niewyzyskany, może przeminąć, bez pożytku dla spraw polskich, i o ogromnem, faktycznem znaczeniu dla propagandy w tym punkcie świata, przez który rok rocznie przewija się conajmniej 700 tys. turystów, propagandy tem ważniejszej, że mogącej rozszerzyć nasze możliwości eksportowe.

Kazimierz Zieliński.

LUDWIK BAUER

Nie można wybierać dla siebie rodzynków z ciasta

NIEMIEC O PRETENSJACH NIEMIECKICH *)

Grypa rewizyjna ogarnęła dziś znaczną część całej ludzkości i cały naród niemiecki. Ale choroba nie staje się zdrowiem przez to, że ulega jej silna większość i choćby się ogłosiło chorobę za bardzo patrjotyczną, rozsądną i moralną, nie przestanie ona dlatego grozić dotkniętym nią śmiercią.

Znowu, jak podczas wojny, tkwią całe Niemcy w kłamstwie i znowu rezultatem może być tylko upadek. Fałszywą drogą dąży się do fałszywego celu, gdyż ideologja nacjonalistyczna wprawdzie zalała siedemdziesiąt miljonów Niemców, lecz skazana jest na niemoc wobec rzeczywistości.

Rewizja występuje u niektórych jako prośba, u reszty jako żądanie lub otwarta groźba. Nie będzie spokoju, dopóki... Okoliczność, że decyzje pokojowe były wyraźnie podyktowane nienawiścią i nierozsądkiem, naprowadza bardzo naturalnie na drogę rewizjonizmu. Dlaczegoby nie miano naprawić błędu? Niestety, sprawa wygląda inaczej; nie żyjemy w próżni, tu nie mogą być rozwiązane jakieś problemy teoretyczne, lecz idzie o państwa, które chcą się utrzymać, o ludzi z ich interesami i namiętnościami. Gdzie było kiedykolwiek państwo, któreby dało sobie odebrać bez przymusu kawałek tego, co posiada? Rewizjoniści byliby w kłopocie, gdyby mieli dać taki przykład. A przymus to jest właśnie wojna.

Nie można więc zareplikować, że idzie tu o zmiany, które niewątpliwie odpowiadają poczuciu słuszności. Gdyż niema ani jednego żądania rewizjonistów, które nie będzie bardzo ostro zwalczane, a nie należy też zapominać o jednem: co w r. 1919 było niesłuszne, to było jednakże nieraz dzięki przyzwyczajeniu, wspólnemu wzrastaniu, wywędrowaniu i przywędrowaniu słuszne. Tutaj chcieć nanowo zmieniać, znaczy nie naprawiać błąd, lecz zastąpić go innym, cięższym. Istotnie, znaczy to, że nowa Europa nie powinna być odbudowana na podstawie najcięższej niemieckiej klęski.

Można odczuwać to, co czują wszyscy Niemcy, że to ich ciężko dotyka. Ale gdy się chce stworzyć nowy porządek świata, trzeba wziąć za punkt wyjścia to, co jest. Nie, odpowiadają rewizjoniści: najprzód musi być zmienione to, co jest złe, niesłuszne, nieznośne. Dobrze — ale co jest złe, niesłuszne, nieznośne? Niemiecki minister spraw zagranicznych zapewnia, iż żądania niemieckie nie są sprzeczne z koniecznościami życiowemi innych narodów. To jest bardzo pocieszające, ale właściwie powinnyby to uznać te narody, których stan posiadania ma być zmniejszony; lecz one są, i krzyczą o tem, całkiem innego zdania. A więc musiałby tu rozstrzygnąć ktoś trzeci, bezstronny, arbiter.

Co to znaczy? Proszę, jakby to wyglądało, gdyby zostało, zgodnie ze skargami i oskarżeniami, raz całkiem trzeźwo przemyślane? Znaczy to: jakiś autorytet, Liga Narodów, Paneuropa, Trybunał Haski czy też jakaś inna jeszcze nie stworzona instancja musiałaby uznać, jak powinny być wyznaczone nowe granice państw. Musiałaby oczywiście również nakazać umowy wyrównawcze, kompensaty, serwituty. Czy to byłoby pożądane i dobre? Wszyscy ci, którzy uważają się za poszkodowanych, powiedzą: tak. A więc powinnaby powstać taka suwerenna instancja wyrównawcza. Ale o czem żaden rewizjonista nie myśli, nie wyłącznie tylko dla Niemiec, Węgier i Austrji. Gdyż, dalibóg, tak nie można, żeby rewidowano tylko tam, gdzie się samemu stawia żądania, lecz takie prawo do rewizji musiałoby przysługiwać wszystkim, stać się częścią przyszłego prawa międzynarodowego. Wówczas może i powinna być rewizja przeprowadzona wszędzie. Ale jak? Czy ma jej żądać dane państwo? Czy też ludność obszaru nadgranicznego z własnej inicjatywy? Czy może również domagać się samodzielności? Gdzie jest jednostka plebiscytowa, gdzie okręg wyborczy? Czy jest konieczność minimum żądających? Jeżeli będzie wymagane wysokie, upadną wszystkie istotne pretensje, przy niskiem minimum każdy odłam będzie obstawał przy swojem i otrzymacie prawdziwą mozaikę na mapie danego kraju.

O to się nie troszczą ci, którzy dawniej byli hakatystami i chcieli połknąć Belgję i Polskę; dzisiaj krzyczą o plebiscyt i płoną wilsonowskim ogniem. Zgadzając się na to wszystko, potykamy się dalej w chaosie. Kto ma głosować w plebiscycie? Czy wszystko ma być sprowadzone do stanu z przed roku 1919, czy też obowiązują stosunki dzisiejsze? Różnica bije w oczy. Wiadomo, jakie wędrówki ludów, odbyły się: w Polsce, w Słowacji, w Macedonji, w Tyrolu, wszędzie! Stanąć znów na gruncie r. 1919 jest niemożliwe, ludzie pomarli, zaginęli, znaleźli sobie nowa ojczyznę; ci co przywędrowali, zasymilowali się. Państwa nie są przedmiotami muzealnemi, lecz istnieją dla teraźniejszości; a więc jednak r. 1931 będziemy zmuszeni przyjąć za miarodajny. Choć więc wszędzie jesteśmy tacy skorzy do zbawiennej rewizji, widzimy z przestrachem, jak wszystko się w łapczywych rękach rozłazi. Kto wydaje zarządzenia, co to jest obszar plebiscytowy i jak się dzieli? Od tego zależy wynik, i każdy, przeciw któremu się obróci, będzie uciekał od rewizji. Weźmy wypadek z Polską: czy wszystkie odstąpione obszary można uważać za jednostkę plebiscytową? Czy też tylko polski Korytarz? A polski Górny Śląsk? Lub znowu oddzielne powiaty? A potem, które? Według wszelkich doświadczeń wyborczych, wypadłoby głosowanie na niekorzyść rewizjonistów, gdyby się traktowało całe obszary jako jednostkę. Oczywiście, wtedy polskim pozostanie właśnie Korytarz, którego strata tak głęboko Niemców boli, gdyż nikt nie zaprzeczy, że tam jest bardzo silna większość polska. Ale wtedy będą się Niemcy oczywiście, powoływały na prawo nierozdzielania narodu, na pewnego rodzaju sąsiedzki serwitut, na szkody, które z tego rozdarcia powstały. W ten sposób byłby już koniec z upragnionem prawem samookreślenia narodów, i my błądzimy po bezbrzeżnem morzu wyrównań i kompensat, rozważania straty i korzyści: czy korzyść jednego państwa góruje nad stratą drugiego?

To będzie zawsze wątpliwe, poświęcony na ofiarę będzie się zawsze bronił; skoro wówczas jednak trzeba będzie znaleźć kompromis, dlaczego nie zrobić tego zaraz, dziś jeszcze, przez zbliżenie i porozumienie? Dlaczego raczej nie najsilniejszy związek z sąsiadami: dla Węgier z Czechami, Rumunami, Jugosłowianami, dla Niemiec z Francją i Polską, żeby Francuzi i Polacy powiedzieli sobie, że leży w naszym najistotniejszym interesie, żeby nasz klijent i przyjaciel, Niemcy, prosperował i był bogatszy?

Ale nie zapominajmy o tem, o czem dotychczas tylko się napomykało: rewizja, która, oczywiście, nie mogłaby przysługiwać tylko Niemcom i Węgrom, lecz wszystkim, inaczej byłaby jawnym imperjalizmem, ta rewizja, gdyby została przeprowadzona, poplątałaby pod każdym względem cały świat, kompletnieby go zatomizowała, odebrałaby życiu gospodarczemu, państwom i jednostkom wszelkie bezpieczeństwo. Jakieś terytorjum, które uważa się za pokrzywdzone przez jakieś prawo czy barjerę celną, ogłasza zapomocą plebiscytu swą niezależność; jemu musi być wolno robić to samo, co innym, nieprawda? Wówczas niema już żadnego pewnego obszaru gospodarczego, żaden budżet kupy się nie trzyma, żaden traktat handlowy nie jest już możliwy, żadne państwo nie otrzyma kredytów, gdyż jutro może być zmniejszone terytorjalnie i pozbawione najbogatszych obszarów. I zastanówmy się: rewizjoniści zachowują się tak, jak gdyby podobny stan był do pomyślenia, a przecież oni sami są właśnie najzacieklejszymi nacjonalistami, płomiennie bronią niezawisłości swego państwa, obruszają się na kontrolę Ligi Narodów, na wtrącanie się innych i odrzucają wszelkie „nadpaństwo". Ale instancja, która byłaby uprawniona do przyjmowania zgłoszeń o rewizję, do wyznaczania granic obszarów plebiscytowych, do stawiania warunków, byłaby nadpaństwem o władzy, jakiej nigdy nie posiadał żaden władca świata.

I tej bezprzykładnej rewolucji, tego rozkładu świata domagają się właśnie zażarci konserwatyści, najgwałtowniej Węgry, które innego świata jak z ich dawnemi dwudziestu miljonami węgierskiemi (dziewięć miljonów Węgrów, jedenaście miljonów mówiących obcemi językami helotów), wogóle nie mogą sobie wyobrazić.

To, co się ogłasza za rewizję, znaczy, z frazesu przełożone na rzeczywistość: przedewszystkiem, granice z r. 1914, jako minimum potęgi, niebawem przez anszlus i coś jeszcze Środkowa Europa i sute mandaty kolonjalne na dokładkę.

Tylko, że właśnie nie można wyszukiwać dla siebie rodzynków w cieście, i gdyby w naszym obecnym świecie rozdęto pojęcia o państwie na serjo próbowano rewizji, musiałby świat pęknąć.

Przełożył z niemieckiego

WACŁAW ROGOWICZ.

*) Wybitny publicysta wiedeński, obecnie stale mieszkający w Szwajcarji, Ludwik Bauer, ogłosił świeżo książkę p. t. „Morgen wieder Krieg" („Jutro znów wojna"), głośną już w całej Europie. Przemilczana w Niemczech, wywołała wstrząsające wrażenie we Francji. W tych dniach ukaże się w przekładzie polskim. Podajemy tu fragment z rozdziału „Niebezpieczeństwo niemieckie", stanowiącego podstawową część tego rewelacyjnego dzieła, tłumaczonego na wszystkie języki świata.

DUSZA CHIŃSKA

Oto jest wyciąg ze współczesnego pisma chińskiego, przełożony przez pewnego uczonego misjonarza (O. Leon Wiegner) i podany niedawno przez jeden z miesięczników francuskich. Musimy go podać w przekładzie polskim w całości, by nie osłabić wrażenia zawartej w nim historji, obrazującej dosadnie duszę chińską. Po umieszczeniu tego tekstu, powiemy bliżej, jakie jest jego źródło i czego jest on wyrazem.

A zatem — historja. Uprzedzam, że będzie dramatyczna.

— Tatusiu, tatusiu! Ja jestem głodna, głodna! Od czterech dni nie dałeś mi nic do jedzenia! Czy chcesz naprawdę, bym umarła z głodu?

Tak żaliło się czternastoletnie dziewczę, zamknięte w pokoju w głębi podwórca wewnętrznego, uderzając w drzwi, hermetycznie zamknięte, krzycząc i szlochając głosem już ochrypłym. Ojciec jej siedział na podwórcu, z twarzą nieruchomą, jakgdyby z żelaza. Gdy dziecko ciągle zawodziło, wstał, zbliżył się do drzwi i powiedział:

— Amao! Bądźże rozsądna! Gdy dowiedzieliśmy się o śmierci twego narzeczonego, czyż nie postanowiłem, że masz pójść w jego ślady i umrzeć; że staniesz w rzędzie tych wzorów wierności małżeńskiej, jakie czczą wszystkie pokolenia? Powieszenie się, trucizna, utopienie się, są to środki gwałtowne, do których nie byłaś zdolna w swym wieku. To brat twojej matki poddał mi myśl, by ci dać umrzeć spokojnie śmiercią głodową. Jest to rzecz najchwalebniejsza na świecie. Przodkowie nasi będą ogromnie uczczeni. Rodzice twoi będą sławni. Robię to dla twego dobra, a ty mi czynisz wyrzuty! Czyliż to ma sens jaki?

Gdy uczony pan Wang skończył swoją mowę, dziewczyna poczęła krzyczeć jeszcze głośniej. Nie mogąc zmusić jej do milczenia, pan Wang wyszedł z podwórca i zamknął bramę jego na zamek europejski, od którego klucz schował troskliwie do kieszeni.

Nazajutrz matka dziewczyny musiała się położyć do łóżka. Nie śmiała tego mówić, ale męczarnia jej dziecka zabijała ją. Kiedy uczony wszedł do niej, rzekła mu: „Oto już sześć dni dziecko płacze z głodu. Rozpuść w wodzie trochę opjum, które palisz, i daj jej do wypicia. To oniemi ją nazawsze".

— Niepodobieństwo! — rzekł ojciec. Według zwyczaju, zawiadomiłem mandaryna, że córka moja skazała się na śmierć z wierności małżeńskiej. Gdy już nastąpi agonja, przyjdzie on, żeby koło jej łóżka zapalić kadzidło i spełnić obrzędowe wypicie wina. Pokłoni się on jej trzy razy. Jakaż chwała dla nas!... Ale gdyby zauważył wówczas, że przyjęła narkotyk, wielki ten człowiek odmówiłby oddania jej czci.

Przeszedł jeszcze jeden dzień, siódmy. Rankiem, ósmego dnia, uczony pan Wang wypalił swoją fajkę opjum, potem oczyścił ją starannie. Po ukończeniu tej operacji, poszedł słuchać na podwórzec. Głucho zupełnie. Otworzył drzwi od komnaty. Dziecko leżało na łóżku, omdlałe, blade, jak umarłe: puls jej kołatał się jeszcze słabiutko. Pozostawało jej najwyżej trzy, cztery godziny... Właśnie pora! Pan Wang kazał rychło zawiadomić urząd i zawołać sąsiadów, by pomogli mu przyjąć mandaryna.

Dziewczę zostało zaniesione przez jej ojca i przez jej matkę do sali przyjęć, posadzone na paradnym fotelu i przywiązane do tylnego oparcia wiązadłami jedwabnemi. Ruszt kadzidlny został ustawiony przed nią. Umierająca nie widziała już i nie słyszała nic, ale oddychała jeszcze słabo chwilami. Na to widowisko, matka wydała jęk. Natychmiast z miną gniewną, ofuknął ją ojciec panny.

— Wtedy, gdy ma przyjść do nas pan mandaryn, by spalić wonności, honor, jakiego nie było od stu lat w naszym domu, ty płaczesz!... Wynoś mi się co żywo!

Brat matki i sąsiedzi donieśli, że przybył mandaryn. Wszedł on, istotnie, zapalił kadzidło, wypił puhar obrzędowy wina, potem pokłonił się trzykrotnie umierającej. Wtedy i pan Wang pokłonił mu się, dziękując. Potem mandaryn pił herbatę w sąsiednim pokoju. Wreszcie wszyscy się oddalili. Pan Wang miał tyle spraw na głowie, że nie miał czasu zauważyć, jak jego córka w tym trakcie wydała ostatnie tchnienie... Zresztą tem lepiej. Wszystko było w porządku. Mandaryn zezwolił na napis honorowy: "Bohaterstwo, godne czci" i ustanowił kult Amao, jako męczennicy „wierności małżeńskiej". Co za chwała dla nas! — powiadali sobie ojciec i wuj panienki. Oto dziewczątko to czternastoletnie zrobiło to, że przyszedł do nas mandaryn i znakomitości miasta! że będą teraz mówili o nas wszędy! Co za chwała!

Szum głosów, jaki powstał w komnatach wewnętrznych, przerwał te wzajemne wyrazy radości. Wbiegła do sali służąca, wołając:

— Panie Wang! Niech pan idzie prędzej! Pana żona umarła z bólu!

* * *

Tyle tekstu. Teraz — co on znaczy. Jest on wyjątkiem z pisma młodzieży chińskiej, p. t.: „Nowa młodzież", jednego z pism, których od lat dwudziestu namnożyło się sporo w Chinach, a które wszystkie zacielkie protestują przeciw tradycji i tysiącoletnim zwyczajom i obyczajom chińskim.

W historji tej, autentycznej i podobno dosyć częstej, piętnuje on obrazowo starą duszę chińską wyrosłą na ścisłym związku z umarłymi, na ciągłym kulcie ich, na przepisie „obowiązku synowskiego" względem umarłych, stanowiącym cały i stały motor dotychczasowego życia chińskiego. Chińczyk nie może stąpić kroku, by nie powoływać całego łańcucha cieniów swych zmarłych, ku czci swej czy ku swej niesławie. Niemasz czynności, od-

łącznej od „obowiązku synowskiego". Oszukiwać swego przyjaciela, kraść, cudzołożyć i t. d. — to wszystko wykroczenia przeciw „obowiązkowi synowskiemu". Słowem, najściślejsza więź żywych i umarłych, zawarowana specjalną moralnością, tysiącznemi przepisami i surowemi nakazami (nawet skazany na śmierć Chińczyk, jadąc wozem na ścięcie, śpiewa „hymn skazanego").

Można sobie wyobrazić, w jaki, po tysiącach lat, zaśniedziały formalizm urosło to czczenie umarłych, jak sparaliżowało samorzutność myśli i przerodziło się w nieświadome nieraz okrucieństwo, przerażające Europejczyka, jak tego dowodem jest podana tu historja panny Amao.

Od czasu dopiero republiki chińskiej począł się gwałtowny ruch młodzieży chińskiej przeciw temu skostnieniu, przeciw tej „zachowawczości" życia chińskiego, — ruch o kierunku bardzo radykalnym i, rzec można, bezkrytycznie wzorowanym na technice materjalnej i materjalistycznej współczesnego życia Europy i Ameryki, które im snać imponuje. Ogłasza dziś ta młodzież mnóstwo manifestów, w których główne postulaty są następujące:

Naprzód, wolność zupełna, wolność cywilna, religijna i finansowa, dla kobiet — wyzwolenie z jarzma mężczyzn. Następnie postęp—nie zachowawczość. Tu młodzież chińska powołuje się na „Ewolucję twórczą" Bergsona! Smutno byłoby, powiadają młodzi, gdyby po nas, jak po Babilończykach, miały zostać tylko znaki pisemne. „Gdy skóra ginie, po co szerść".

Potem — czyn, przedsiębiorczość, energja. „Naśladujmy Kolumba, nie Tołstoja i Tagore!"

Dalej — wiara tylko w fakty, w pozytywną wartość rzeczy, oparcie się na Millu i Comte'cie. Pogarda dla wszelkiej metafizyki, abstrakcji i idealizmu. Pozytywność i praktyczność. Wierzmy — powiadają młodzi — że więcej wart w życiu kosz nawozu, niż „kosz z berłem jaspisowem" (wyraz dawnej władzy). „Traktat o pobożności synowskiej", o „duchu nieba", którego wzywa się dla zażegnania powodzi czy suszy, to przesądy, wszczepiane tłumom przez dawne dynastje w celach władzy i wyzysku. I tak dalej — w tym samym kierunku z zupełną pogardą dla tradycji i jej kanonów.

Co będzie z tego przesadnego dziś ruchu młodzieży chińskiej, z tego nagłego przeskoku do materjalizmu i bezpośrednich pożytków. Malraux, pisarz francuski, autor „Zwycięzców' („Les conquerants"), znający nieco Chiny, świadek i uczestnik niedawnych tam ruchów rewolucyjnych powiada, że zbudzenie się olbrzymiego smoka chińskiego „mierzy w Europę i marzy o Ameryce, ale wszelka nauka życia zachodu, podana przez Chińczyka uczestniczy w Apokalipsie i działa, jak Apokalipsa: zwiastuje kres!". Zdanie, może przesadne, niemniej charakterystyczne.

JÓZEF JANKOWSKI.

KU CZEMU BĘDZIEMY SZLI

Zmartwychwwstanie! jaka wielka, największa treść w tym słowie. Tak wielka, jak wielkiem jest to Boskie przejawienie.

Zmartwychwstanie — to złączenie naszego życia na tej ziemi z tem, co ponad niem, co ponad nami, z tem, co najpiękniejsze i szczęśliwe.

Zmartwychwstanie!

Zmartwychwstanie naszej Ojczyzny za łaską Boską i ofiarnym wysiłkiem ludzi, to wstęp do nowego, szczęśliwego żywota Ojczyzny naszej.

Tak zmartwychwstanie dostępne jest ludziom jako ukoronowanie ich wysiłków przez odrodzenie ducha, przez odrodzenie życia swego. A odrodzenie życia, — a bez życia niema szczęśliwości, a bez szczęśliwości niema życia,— to odrodzenie uczuć naszych prawych.

Uczuć naszych rodzinnych, bo rodzina to pierwsze przyrodzone „wszystko" każdego z nas.

To pierwsza celowość człowieka, to jego stan, życie, przeznaczenie, obowiązek i szczęśliwość.

To pierwsza i najważniejsza Ojczyzna, jedyna droga, to otwarta i bezpieczna brama do nieśmiertelnej, innej wspólnej wszystkim Ojczyzny.

Jakże mało jednak wśród nas dzisiejszych zrozumienia co znaczy rodzina, czem ona jest.

Trzeba więc reformy i odrodzenia naszych pojęć o rodzinie. Tak jak jest, pozostać nie może, nie może być, by ludzie z niezrozumienia dalej męczyć się mieli bez celu, bez idei, bez powodu.

Trzeba reformy tej rodziny. Lecz nie przez nowe prawo o małżeństwie, błędne w założeniu, płytkie i szkodliwe, bo nie reformujące małżeństwo, lecz legalizujące bezprawie w małżeństwie.

Trzeba innej reformy. Reformy w przygotowaniu młodych do małżeństwa: rozświetlenia celów, obowiązków i tych wielkich możliwości w rodzinie. To byłoby przekształcenie ducha i pojęć tych, którzy chcą założenia rodziny, których to jest przeznaczeniem, którzy do tego dążą. Trzeba dalej reformy w tem, by ci blizcy, najbliżsi i ci dalsi nawet, ze swych nagromadzonych środków z pomocą szli rodzinie, każdemu nowemu gniazdu.

Trzeba ze strony rządu reformy i ustalenia od niego wszechpomocy, tej najpierwszej, największej, tej klasycznej pomocy dla rodziny.

Przez takie to założenia i prawa przyjdzie prawdziwe odrodzenie i odbudowa życia narodu naszego.

Droga to najpierwsza i czy nie jedyna, prosta dla zrozumienia, podważająca i niszcząca podstawy gnębiącego ludzkość kryzysu.

Ku temu więc musimy iść... K. R.

SZMAT ŻYCIA

— Siadajcie chłopcy — mówił Adam. — Nie widzieliśmy się całą kopę lat! Rozgośćcie się — przysuwał małe stoliki ku wielkiej otomanie, na której siedziało dwóch poważnych wojskowych.

— Tak, dawnośmy się nie widzieli — podjął tęższy z nich. — Ja siedzę na Kresach Wschodnich, Staszek na Zachodnich, a ty pośrodku, w Warszawie. Myśmy zostali obaj w wojsku, a tyś wrócił do wygodnego życia. Paczka sie rozbiła, drogi się rozeszły i spotkać się możemy tylko przypadkowo, ot, jak dzisiaj na przykład.

— Bardzo się cieszę z tego przypadku — odezwał się trzeci. — Wysiadam na dworcu, patrzę, a tu kroczy przedemną jakiś tęgi pułkownik. Myślę sobie: Władek, nie Władek? Władek! No, rzecz jasna, żeśmy zajechali do tego samego hotelu. Ucieszyliśmy się, że spędzimy przynajmniej jako-tako Wielkanoc. Ale tu widze. że zanosi się na zupełnie wesołe święta.

— O tem samem pomyślałem, kiedym was obu ujrzał wychodzących z hotelu—mówił Adam, wyciągając z bibljotecznej szafy flaszkę koniaku. — Święta zawsze działają na mnie jakoś tak przygniatająco... Bierze człowieka taka zazdrość, kiedy patrzy, jak inni ludzie, którzy stworzyli sobie rodziny, kłopoczą się o to, aby jako-tako te święta urządzić, sprawić radość żonie, dzieciom...

— Więc dlaczegóżeś się nie ożenił? — spytał pułkownik.

— A dlaczegóż wyście się nie pożenili? — odpowiedział pytaniem Adam.

Obydwaj wojskowi spojrzeli na siebie prawie równocześnie i skrzywili się śmiesznie.

— Jakoś się nie składało — mruknał Staszek. — Najpierw wojna, potem służba w rozmaitych pułkach, ciągłe przeniesienia... No, a teraz, kiedym został podpułkownikiem, wprawdzie siedzę już od kilku lat na miejscu, ale prawde powiem, nie mam odwagi. Myślałem o tem pare razy, kiedy samotność dojadła...

— Tę samotność czuję rzadko — przerwał Staszkowi Władek. — Życie w pułku jest jednak życiem w gromadzie. Ja tylko tęsknię czasami za swoją kobietą, swoim domem i tem wszystkiem, co się nazywa rodziną. Ale gdy pomyślę, jakie to wszystko pociąga za soba ciężary, to strach mnie oblatuje i wracam do swoich oficerów, do kasyna, czy pracy w pułku i zapominam o tych tęsknotach. Gdybym jednak był na twojem miejscu, w twojej sytuacji — zwrócił się wprost do Adama — byłbym się napewne ożenił.

Adam, który nalewał w tej chwili kieliszki, jakie wyjął z oszklonej szafki, spojrzał na Władka z ukosa i szepnął:

— Myślę, że nie byłbyś się ożenił.

— Oh, napewne. Jesteś młodszy od nas obydwóch.

— O rok.

— To też różnica. Jesteś majętny, niezależny, masz stosunki.

— To wszystko niema nic do rzeczy.

— Ma. W takich warunkach możesz sam o wszystkiem decydować, na nic sie nie oglądając.

— Zdaje ci się. Nie tak to łatwo z ta decyzją. Ale poczekajcie, każę podać kawy, a potem wam coś opowiem. Będzie to nawet dosyć à propos, tembardziej, że dziś jest Wielkanoc... a to, co chcę powiedzieć, jest dziwnie zwiazane z dniem Wielkiej Nocy z przed kilku lat.

Pułkownik podniósł kieliszek koniaku do ust, a potem mruknął:

— Starzejemy się, kochani chłopcy, starzejemy się. Najlepszy dowód w tem, że Adam zaczyna grzebać się w wspomnieniach. I mnie także przypomniała się jedna Wielkanoc z przed lat kilku...

— Ciekawe! — rzekł Staszek.—W tej chwili i mnie stanął przed oczyma obraz pewnego święconego To było przed dwunastu laty.

— Chyba nie będziemy opowiadali równocześnie — zaśmiał się głośno Adam. — I widzę, że Władek ma słuszność, mówiąc, iż sie starzejemy. Teraz już wszyscy trzej przypomnieliśmy sobie te Wielkie Noce, które w naszem życiu odegrały jakąś rolę.

— Miałeś kazać podać kawę — przypomniał pułkownik. — Przy kawie będzie sie nam lepiej gwarzyło.

Adam zadzwonił i do pokoju weszła siwa, ale czerstwo wyglądająca kobieta.

— Może Anielcia da nam maszynkę kawy — poprosił jakimś miękkim tonem.

— Mogę dać, ale paniczowi kawa szkodzi — odparła kobieta.

— Dzisiaj święta i mam u siebie przyjaciół — uśmiechnął się Adam. — Niech już Anielcia nie zrzędzi, tylko poda kawę.

Starowina wyszła, mrucząc pod nosem uwagi o młodzieńczej lekkomyślności, a pułkownik zauważył:

— Anielcia ciągle cię traktuje jak chłopaka.

— Tak. Dla niej zawsze jestem paniczem. Zna mnie od dziecka. Ale wiecie, zanim podadzą kawę, ja wam zdążę opowiedzieć to, co zamierzałem, a co ma być odpowiedzią na twierdzenie Władka, że na mojem miejscu ożeniłby się. Pijcie koniak i słuchajcie:

— Ośm lat temu służyłem jeszcze razem z wami i miałem wówczas zamiar żenić się. Pamiętacie napewno tę dziewczynę, za którą wprost szalałem...

— Tak — mruknęli obaj przyjaciele.—Przypominam sobie te awantury — dodał pułkownik.— Odradzałem ci wówczas małżeństwo.

— Odradzałeś niepotrzebnie, bo to ona nie chciała ślubu. Odeszła odemnie bez słowa, bez pożegnania, bez tych wszystkich tragedyi, jakie najczęściej towarzyszą wszelkim rozstaniom... Adam przygryzł dolną wargę i już po chwili mówił dosyć gładko dalej: — Ja przeżyłem to dosyć ciężko. Podałem się do dymisji, wyjechałem potem w daleki świat, no i rany moje jakoś się zabliźniły. Trzy lata temu, a więc w pięć lat po owem rozstaniu, kiedy zdawało mi sie, że już zupełnie wróciłem do równowagi, spotkałem ją znowu. A raczej nie spotkałem... przyszła do mnie.

Nie drgnęło we mnie nic. Witałem ja jak dobrą znajomą, którą żegnałem wczoraj, mimo, żem jej nie widział przez pięć lat. Pytałem. jak się czuje, czy zdrowa i co ją do mnie sprowadza.

Spojrzała na mnie swemi wielkiemi oczyma i nie odpowiadała. Przestałem pytać. Zrozumiałem, że przyszła do mnie, bo przyjść musiała, bo jest jej źle, bo potrzebuje pomocy. — Pamiętam, że chcąc jej dać swobodę, by nie musiała się wstydzić łez, stanąłem przy oknie i patrzyłem w ogród. Robił się zmrok i za chwile miało być ciemno. Czekałem długo, zanim podeszła do mnie i stojąc obok, patrząc w ogród tak, jak ja. poczęła mówić.

Mówiła cicho i prosto, że jest nieszczęśliwa, że prosi o ratunek. Jej opowiadanie wstrząsnęło mną głęboko. Zrozumiałem jednak właściwie tylko to jedno, że kocha jakiegoś człowieka. którego ja mam ratować. Właśnie ja! Ale co mam zrobić, jak ratować, uświadomiłem sobie dopiero wtedy, gdym został sam.

Minął dzień, a ja poszedłem między ludzi. Łaziłem jak szpieg, pytałem, szukałem i dowiedziałem się, wszystkiego. Wszystkiego! Nic mnie to nie boli, mówię zupełnie spokojnie, wierzcie mi. Otóż, rzuciwszy mnie... Ale czekajcie... Nie podali nam kawy. — Zadzwonił i czekał.

— Cieszyliśmy się na wesołą Wielkanoc — mruknął pułkownik, — a tu widzę, nasze spotkanie budzi jakieś niewesołe wspomnienia

Adam nie odpowiedział, bo w tej chwili weszła stara niańka i wniosła maszynkę kawy i filiżanki.

POWRÓT KU WIELKIEJ LITERATURZE

Ukazanie się „Nocy i Dni" Marji Dąbrowskiej jest ewenementem w naszej literaturze pięknej pierwszorzędnym.

„Noce i Dnie", to powieść, a raczej epopea powieściowa, która zawarta będzie w czterech obszernych tomach. Dotychczas ukazały się dwa— „Barbara i Bogumił" i „Wieczne zmartwienie" *), i choć niema jeszcze całości, te dwa pierwsze tomy dają materjał dostateczny, by na ich podstawie dać charakterystykę przebogatego talentu ich autorki.

Dorobek pisarski Marji Dąbrowskiej nie jest bardzo obfity. Lecz już ukazanie się „Uśmiechu dzieciństwa", szczególnie zaś „Ludzi stamtąd" (dwa zbiory opowieści-nowel) zwróciło na młodą autorkę powszechną uwagę krytyki i publiczności czytającej. Każdego uderzyć musiała nadzwyczajna wnikliwość, doskonałe wyczucie tła i niesłychanie subtelny sentyment, którym p. Dąbrowska w poprzednich pracach otaczała swych bohaterów.

„Noce i Dnie", to nietylko pierwsza praca p. Dąbrowskiej rozmiarów już większych, zakrojem swym przewyższająca zwykle przyjęte normy. Mimowolnie nasuwa się tu analogja do niektórych rozgłośnych utworów obcych (np. Galsworthowska „Saga Forsytów"), skłonny przecież jestem sądzić, iż jest to raczej analogja przypadkowa, polegająca na tem wyłącznie, że i autorka polska opisuje dzieje paru pokoleń tej samej rodziny.

Najbardziej uderzającą cechą „Nocy i Dni" jest brak w tej powieści t. zw. akcji i ciągłości fabuły, a przecież przeczytać ją trzeba od deski do deski, jednym ciągiem. Niepodobna inaczej, tak przykuwa uwagę, tak absorbuje.

Zwróciłem poprzednio uwagę na wnikliwość. W „Nocach i Dniach" wnikliwość ta przetwarza się w niesłychanie drobiazgową analizę psychologiczną, ujętą z żywiołową wprost plastyką i realistycznością. Wśród kilkudziesięciu postaci, które przewijają się przez dwa pierwsze tomy, niema ani jednej papierowej. Wszystkie żyją, wszystkie są z ciała i krwi, wszystkie podaje nam autorka w linjach bardzo wyraźnych, zbyt szczegółowo może nawet czasami.

Już wstęp jest bardzo pociągający, choć czytelnika, nie posiadającego zamiłowania genealogji i koligacyj, zrazić może. Pociąga jednak, bo ma w sobie coś Grottgerowskiego. Czytając sylwetki postaci kilkoma sztrychami narzuconych, widzi się osoby niejako żywcem wzięte z rysunków i obrazów nieśmiertelnego twórcy „Polonji".

W miarę rozwijania się opowieści wrażenie to stopniowo zaciera się. Wchodzimy w gąszcz ludzi, zdarzeń i miejscowości, a osią wszystkich ich i wszystkiego jest jedna postać kobieca — Barbara.

Nie spotkałem dotychczas w żadnej ze znanych mi powieści autorów-kobiet podobnego zjawiska. Nawet najwybitniejsze pisarki nie umieją wznieść się ponad stronniczość płci. Wynika to albo z niezrozumienia psychologji mężczyzny, albo oparte jest na własnych przeżyciach i zawodach życiowych. Stąd też typy niewieście, wychodzące z pod piór pisarek są zawsze dodatnie w stosunku do bohaterów, a jeśli ujemne, to jako ofiary mężczyzny.

P. Dąbrowska umiała oderwać się od owego nastawienia, wszystkim nieledwie koleżankom swoim po piórze, właściwego. Barbara, to typ nietylko ujemny, ale wręcz denerwujący. Inteligentna, dość wykształcona, obyta w świecie, staje się po wyjściu zamąż w bardzo szybkim czasie pospolitą „kura domestica", jeżeli idzie o sposób bycia i o zatruwanie życia kochającemu ją bardzo mężowi. Jest czuła, ale przewrotną matką, oszczędną i skrzętną, ale nieobliczalna i chwilami rozrzutną gospodynią. Nigdy nie wie, czego chce, wiecznie się o coś niepokoi, czuje się źle, gdy nie ma powodów do zmartwień, zawsze je wyszukuje lub stwarza sobie. W gruncie rzeczy istota dobra, jest przeważnie i dla wszystkich — często na przekór samej sobie — zła, zgorzkniała.

Antytezą Barbary jest Bogumił. Prosty, szczery, stanowczy, pracowity, sumienny i uczciwy, kochający ojciec, mąż cierpliwy aż do ostatecznych granic.

Obydwoje — jak zresztą większość bohaterów powieści — pochodzą z rodzin ziemiańskich, które przeciwności życiowe lub wypadki historyczne (powstanie) wygnały z roli i zapędziły w sferę t. zw. inteligencji i pracowników umysłowych.

Przypadkowo przecięły się linje ich podróży ziemskiej. Barbara wyszła zamąż, chowając na dnie serca niezagasłą miłość dla innego mężczyzny, którego poznała jeszcze jako podlotek w domu matki. Zawiedziona miłość przetwarza tę miłą, serdeczną dziewczynę w kobietę o przewrotnej strukturze duchowej.

Cóż łatwiejszego, jak na tem tle wysnuć jakąś banalną kabałę. I tu właśnie ujawnia się cała głębia talentu Marji Dąbrowskiej. Nie treścią, nie fabułą przykuwa uwagę, nie tem, że na ostatniej karcie „wszyscy się pożenili", nie jakimś mdłym sentymentalizmem, lecz gruntowną i głęboką analizą dusz ludzkich.

To już nie zwykła wnikliwość, bez której żadne dzieło pisarskie nie może wogóle powstać. Wśród wikłających się zdarzeń, wśród splatających się dziejów życia całej galerji postaci wyrastają przepysznie narysowane portrety o wymowie niezmiernie silnej, analizowane drobiazgowo, szczególnie jeżeli idzie o postacie pierwszoplanowe.

Spotykamy jednak i szkice, postacie fragmentaryczne chłopów, biednej żydówki-kupcowej, nauczycielki, bogatego ziemianina i t. d., a wszystko to jest jednakowo żywe, prawdziwe.

Nietylko pojedyńcze postacie. Dąbrowska

*) Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Warszawa, 1932.

— Mów dalej — rzekł Staszek. — Takie opowiadania należy kończyć.

Adam skinął głową, połknął łyk kawy i zapalił papierosa.

— Otóż... rzuciwszy mnie, poszła w życie jak lawina. Chłonęła życie i jego trujący cudczad. Gorzała niby pochodnia żywa, wieczna, jak wieczny jest wszelki żywioł. Podawano ją sobie z rąk do rąk. . a raczej nie! Nikt jej nie brał, bo dawała się sama, biorąc i zmieniając kochanków. Szukała kogoby mogła pokochać, pokochać tak, jak może ja ją ongiś kochałem. Szukała długo. Rozumiem ją, dobrze rozumiem. Wreszcie znalazła, tak, znalazła, ale wtedy była już mężatką.

Czekajcie... mówię trochę chaotycznie... Otóż mąż i kochanek byli lotnikami. Obydwaj mężczyźni pełnej krwi, żyli w przyjaźni lata całe. Mąż miał na imię Stefan, kochanek Andrzej. Przyjaźń, czysta przyjaźń prawdziwych mężczyzn nie pozwalała Andrzejowi kłamać: powiedział Stefanowi, że kocha jego żonę, że jednak usunie się, zniknie, by ich życia nie niszczyć. Usunął się też, wyjechał, ale kiedy ona wyjechała za nim, nie oparł się. Żyli jakiś czas zagranicą, a wrócili dopiero wtedy, gdy doszła ich wieść, że Stefan zginął w katastrofie lotniczej. Nikt do dziś nie wie, co było przyczyną katastrofy, bo podobno aparat był świetny, ale rzecz ciekawa: spadł na bruk przed bramą cmentarną. Gdy zebrano zwłoki do trumny, nie miał daleko ani do kaplicy żałobnej, ani na miejsce wiecznego spoczynku.

Mimo, że pogrzeby wogóle nie bywaja wesołe, mówiono o tym pogrzebie, że był smutny, podobno bardzo smutny. A zapomniałem wam powiedzieć, że katastrofa zdarzyła się w drugi dzień Wielkiej Nocy.

Byłem wtedy zagranicą, czytałem o tej katastrofie w pismach, ale nie wiedziałem, że to był jej mąż. Dziś wiem to wszystko, ba, wiem o wiele więcej. Wiem, że w półtora roku później odbył się ślub Ireny z Andrzejem, wiem, że Andrzej wrócił do wojska, porzuciwszy lotnictwo cywilne, nawet wiem o takim szczególe jak to, że on, jeden z najlepszych lotników, nie przelatywał nigdy nad cmentarzem.

Ona, Irena, nienawidziła lotnictwa. Bała się o Andrzeja, drżała z trwogi, gdy on wzlatywał, zamykała się, zapuszczała rolety, kiedy był w powietrzu, by nie ulec pokusie i nie spojrzeć za nim, by, jak twierdzą zabobonni lotnicy, „nie uderzyć weń oczyma" i nie ściągnąć go na ziemię. Nie żegnała się też z nim nigdy, gdy odjeżdżał na lotnisko, bo i na tym punkcie był przesądny.

Chciała go odwieść od latania i tu właśnie szukała u mnie pomocy. Mówiłem wam, że w pierwszej chwili, wówczas, gdy do mnie przyszła i prosiła o ratunek, nie wiedziałem, a raczej nie zdawałem sobie sprawy co robić i jak go ratować. Na drugi dzień jednak dowiedziałem się: miałem mu przez stosunki ułatwić przeniesienie do wojsk samochodowych. I udało się. Ze względu na dawne zasługi, zszarpane obecnie nerwy, ze względu na stosunki rodzinne i t. p. udało mi się uzyskać dla niego odpowiedni przydział.

A był to już czas najwyższy. Irena powiedziała mi w zaufaniu, że Andrzej miewa halucynacje. Raz wpadł do domu z krzykiem, że Stefan gonił go w powietrzu na jakimś przezroczystym aparacie, aż prawie do hangaru na lotnisku. Innym razem znów, ledwie się wzbił na pareset metrów, wylądował natychmiast, twierdząc, że w pewnej chwili zjawił się obok niego Stefan i starał się skierować samolot ku cmentarzowi.

Widziałem, bywając co kilka dni u Andrzejów, że Irena cierpi bardzo, ale stara się mimo wszystko wpływać uspokajająco na męża, wiedząc, że lada dzień przyjdzie rozkaz przenoszący Andrzeja na inne stanowisko.

Było to też przed Wielkanocą. Na Święcone Andrzejowie zaprosili mnie do siebie. Pamiętam podczas śniadania wszedł do pokoju ordynans i zameldował: — Rozkaz z pułku!

Poderwaliśmy się wszyscy. Andrzej rozdarł kopertę, przeczytał i zbladł. To nie był jeszcze rozkaz przeniesienia. Dowódca eskadry zawiadamiał Andrzeja, że w pierwszy dzień po Wielkanocy ma wziąć udział w pogrzebie jednego z kolegów i odbyć lot nad miastem.

Widziałem, jak rozkaz podziałał na Andrzeja, zdawałem sobie sprawę ze stanu jego nerwów i starałem się namówić go, by zameldował, że jest chory. Namawiałem go z czystem sumieniem, był naprawdę chory. Ale znacie ambicje lotników: nie usłuchał.

Widziałem się z nim na drugi dzień. Był zupełnie spokojny, nawet złożyliśmy wspólna wizytę jednemu ze znajomych, który zauważył, że Andrzej bardzo zdrowo wygląda. Na trzeci dzień już o godzinie jedenastej rano byłem znowu u Andrzejów. Nie chciałem, by Irena była sama, czekając na powrót męża z lotniska.

Andrzeja już nie zastałem, wyjechał przed godziną, a Irena płakała w ciemnym pokoju z zapuszczonemi w oknach roletami. Usiadłem w wielkim fotelu i nie chciałem mówić, pocieszyć, że on zaraz wróci, uspokoić ją, ale nie mogłem znaleźć słów. Nagle usłyszałem jej szept:

— Czyś bardzo cierpiał, kiedym odeszła?

Przyznaję, że serce mi bić przestało. Nie odpowiedziałem wprost, ale zapytałem, dlaczego porusza te rzeczy, które już czas pogrzebał. Pamiętam, że powiedziałem poetycznie:

— Dlaczego otwierasz grobowiec, w którym zapanowała ciemność i cisza?

— Boś musiał chyba bardzo boleć — odpowiedziała — jeśli za to, com uczyniła, tak teraz cierpieć muszę. Nie znalazłam szczęścia, choć życie się do mnie śmiało. Chciałam żyć, być szczęśliwą, chciałam kochać i nie mogłam. A teraz, gdym pokochała, tracę znowu wszystko. Nie wolno zabijać, a ja zabiłam miłość... i twoją i Stefana! Tak, zabiłam, i teraz za to...

Nad naszemi głowami rozległ się w tej chwili szum samolotów.

— On jest nad nami! — zerwała się i odrzuciła ciemne rolety. Pchnęła okiennice i światło dzienne wdarło się do pokoju. Wybiegła na balkon i krzyczała:

— O! widzisz! o! to on! To jego aparat!

Tak, to był Andrzej. Aparat płynął wspaniale, równo. Nagle uczułem, jak w moje ramię wpijają się palce Ireny: Aparat skręcił ostro i skierował się ku polom cmentarnym. Andrzej musiał nas dostrzec, bo i myśmy dostrzegli z ukosa jego głowę, ubraną w hełm i rękę wzniesioną w górę, jakby z pozdrowieniem. Raptem... aparat skręcił się, niby trafiony ptak i runął w dół.

Nie wiem, jak się znalazłem na cmentarzu. Andrzej leżał spłaszczony, niby papier, na grobie Stefana. Samolot leżał przed bramą cmentarną.

Tęgi pułkownik odetchnął głęboko, spojrzał na Adama, siedzącego w głębokim fotelu, rzucił okiem na Staszka, leżącego prawie na kanapie i po długiem milczeniu mruknął:

— Nno tak, tak... Rozumiem, rozumiem. Przeżyłeś kawał życia, ciężkiego życia... tak...

Adam przetarł dłonią czoło i oczy i spojrzał na swoich gości:

— Przepraszam was, moi drodzy, ale mówiłem wam, że wszelkie święta działają na mnie przygniatająco...

— A ja myślałem, że spędzimy wesoło Wielkanoc — odezwał się z kanapy szczupły podpułkownik. — Miałem nawet zamiar opowiedzieć wam bardzo wesołe zdarzenie, które miałem właśnie w sam dzień Wielkiej Nocy...

— Daj spokój — przerwał mu pułkownik. — Znam cię zbyt dobrze. Zacząłbyś wesoło, a skończyłbyś, jak Adam.

Staszek spojrzał na starszego kolegę i szepnął: — A może masz słuszność, może lepiej nie wspominać...

Jerzy Kossowski

doskonale obrazuje życie prowincjonalne **) w epoce popowstaniowej i następnych, a czyni to tak wiernie, że jej epos powieściowe jest niemal dokumentem, na którym opierać się będzie mógł przyszły historyk.

Język Dąbrowskiej jest prosty, bez żadnych sztucznych ozdób, bez silenia się na wielkie maksymy i aforyzmy, jak czynią to niektórzy bardzo renomowani, czy raczej rozreklamowani nasi pisarze, usiłujący napuszonym stylem zastąpić brak głębszej myśli i... talentu. Pisze językiem niemal codziennym, stylem bardzo swoistym — ostrym i jędrnym. Unika niedomówień i omawiań. Rzadkie zresztą opisy przyrody traktuje w podobny sposób, jak portrety ludzkie — bardzo obrazowo i wyraziście.

O stronie ideowej książki mówić nie mogę jeszcze, aż nie poznam całości. Nie wydaje mi się jednak, by dzieło Dąbrowskiej było powieścią à thèse. Z dwuch tomów pierwszych skłonny jestem mniemać, że jest to praca wyłącznie literacko-artystyczna, bez żadnych tendencyj bezpośrednio ze sztuką pisarską nie związanych. Ten moment poczytuję również za dodatnią stronę epopei Dąbrowskiej, która stworzyła dzieło, stawiające ją niewątpliwie wśród plejady pisarzy współczesnych na jedno z miejsc pierwszych.

Gdyby nie dzisiejsza epoka zapoznania wszelkich walorów duchowych, wszelkich tworów artyzmu, wokół „Nocy i Dni" byłoby równie głośno, jak ongiś wokół „Lalki" Prusa, czy sienkiewiczowskiego „Bez dogmatu".

Od „Przedwiośnia" Żeromskiego, „Konia na wzgórzu" Małaczewskiego, „Przez płonący wschód" Goetla, „Zielonej Kadry" i „Śmierci w słońcu" Kossowskiego żadnej bodaj książki polskiego autora, a niezbyt wiele obcych mógłbym pod względem walorów pisarskich — ogólnikowo biorąc — porównać z „Nocami i dniami".

Wśród dzisiejszej pustynności na półkach księgarskich, mimo ich przeciążenia, „Dnie i Noce" są zjawiskiem nietylko doniosłem, bo i radosnem wielce — literatura nasza wraca do literatury wielkiej.

Czekam z niecierpliwością na dwa tomy następne.

L. Lewenstam.

**) Gros akcji w dwuch omawianych tomach rozgrywa się w Kalińcu, jak autorka przezwała Kalisz, nawiasem mówiąc, swoje miasto rodzinne.

KRONIKA ARTYSTYCZNA

Wystawa w Instytucie Sztuki: † Konrad Krzyżanowski, Tadeusz Kulisiewicz, Rafał Malczewski, Dziesięciu z Krakowa, „Loża wolnomalarska", „Ryt".

Prawdziwym, szczerym, głębokim portrecistą był Konrad Krzyżanowski. Dawniej podnoszono jego zalety czysto malarskie, a więc umiejętne kładzenie farby, łączenie subtelne tonów, harmonizowanie tła z głównym tematem obrazu. Dziś na pierwszy plan wychodzą prawdziwe zalety portretu, a więc prawda duchowa, lub psychiczna osób portretowanych, prawda, przejawiająca się ośrodkami czysto malarskiemi, a wynikająca z zespalania się artysty z duszą osoby portretowanej. Dobry portrecista ma w sobie coś z genjalnego aktora, wżywa się w postać, którą odtwarza, przetwarza się wewnętrznie i z tej przemiany w daną postać rodzi się forma artystyczna.

U aktora materjałem artystycznym jest jego własne ciało, maska twarzy, gest i wymowa — u malarza forma malarska, płynąca z głębi duszy. Portrecista powierzchowny maluje jedynie to, co widzi oczami — portret może być nawet podobny, lecz jest martwy. Postacie w portretach Krzyżanowskiego żyją, zdają się przemawiać do patrzącego. Takie portrety, jak Hanki Stońskiej, lub Stońskiego, można zestawić z najlepszymi w europejskiem malarstwie i nic one na tem porównaniu nie stracą. Są to obrazy, nadające się do sal honorowych w muzeach sztuki.

Za źródłem natchnień malarstwa Tadeusza Kulisiewicza próżno było przedtem szukać. Ujmował on i ujmuje naturę pod kątem sobie właściwym. Linja jego rysunku uwypukla jakieś przerosty lub niedorosty kształtu ludzkiego, będące oznaką jakichś niedomagań psychicznych, lub rzadziej, pewnych stanów psychicznych, graniczących z głębokiemi zamyśleniami religijnemi. Subtelność jego kolorów i tonacja delikatna, jak dotknięcie skrzydeł motyla, wskazują na niezmiernie wrażliwą i czułą naturę artysty. Żyje on wśród górali, tego najbardziej mistycznego szczepu polskiego, który rok rocznie w Kalwarji Zebrzydowskiej doznaje zbiorowych ekstaz religijnych, ekstaz podobnych do tych, jakie przeżywali ludzie epoki romańskiej i wczesnogotyckiej. Rysunki Kulisiewicza z rzeźb romańskich i gotyckich, są dokumentem tego zbliżenia czasów. Widzimy w nich te same stany duszy, płynące z życia religijnego, które wyczuwa artysta w postaciach dzisiejszych. Oczywiście, w rzeźbach romańskich są one w czystej formie, w rysunkach dzisiejszych Kulisiewicza podkreślone są nieraz cechy skażenia, jakie życie materjalne ze sobą niesie, nieraz te cechy dominują nad innemi; zamiast być przypadkowemi, są istotnemi i sprowadzają rysunek z płaszczyzny harmonijnego piękna, na granice karykatury. Tworzy on w tej właściwej polskiej sztuce kierunkowej, której się trzymali pierwsi polscy miniaturzyści, Wit Stwosz i malarze cechowi, a w naszych czasach Wyspiański. Techniką jego jest drzeworyt i rysunek podkolorowany.

Z gór również przywozi swoją malarską twórczość Rafał Malczewski. Poza naturą, pejzażem, człowiek, jako temat do obrazu, nie istnieje dla niego. Malczewski patrzy na naturę oczyma dziecka i przetwarza ją w swej prostej i naiwnej wyobraźni. Obrazy jego są opowiadaniami dla małych i dorosłych dzieci, jak bajki, lecz nie zawierają moralnego sensu. Nie idzie on za sensem kształtu, lecz za kolorem, w nim tkwiącym. Można z nim mówić tylko o barwach lokalnych na ziemi — a o fantastycznych w chmurach i w niebie. Obrazy jego, to kompozycje na cztery ręce. Nie wszystkie coprawda, bo są niektóre pejzaże zimowe, gdzie jednotonowość absorbuje wszystkie kolory i wytwarza harmonijną szarość, ów kręgosłup barw ziemskich.

Jak w jakimś zespole rewolucjonistów różne są charaktery i typy, tak „Dziesięciu z Krakowa" łączy jedynie wspólna nazwa. Każdy tam sobie tworzy na swoją modłę, od Hofmana Vlastimila idealisty począwszy, aż do najskrajniejszych deformatorów formy. Środek trzyma Marcin Samlicki o rodzajowym podkładzie swej twórczości, o zwartej realnej formie, o tężyźnie faktury i wytwornem traktowaniu obrazu. Obok niego miejsce zajmuje doskonały portrecista Alfons Karpiński, zbliżony do impresjonistów szkoły krakowskiej, a na lewem skrzydle Zbigniew Pronaszko i Henryk Gotlib stanowią przejście do artystów „Loży wolnomalarskiej" z Warszawy.

Zwiedzający staje na progu tej loży, pytając, co to jest „Piękno"? Nie mogąc znaleźć odpowiedzi w tej sali, zmienia swe pytanie na inne: „Czy tylko piękne rzeczy należy malować? czy sztuka w dzisiejszych czasach nie ma innych zadań, niż przenosić nas w sfery apolińskiego piękna, kojącego i kołyszącego duszę"? Twierdząco na to pytanie odpowiada kilku rysowników tej grupy. Bronisław Linde widzi życie miasta w całej jego ohydzie, widzi, jak twarz ludzka zmienia się z obrazu boskiego w larwę, żyjącą odpadkami zgnilizny wielkomiejskiej, widzi cały fałsz, sławiący najohydniejsze czyny i dążności grup społecznych. Jego wyobraźnia idzie za mikrobami materjalnemi i moralnemi i widzi ich niszczycielskie działanie. Jego kompozycje rysunkowe są wyrazem obrony jego duszy przeciwko wszystkim atakom i pokusom duszy ludzkiej, idącym z krainy zbrodni, występku, zepsucia. Jest w nich okrutny, jak inkwizytor, a czasem ciętą satyrą stara się naprawiać obyczaje.

Obok niego Kudła Antoni i Zielenkiewicz Kazimierz koncentrują się w twarzach ludzkich, z których wydobywają wyszukaną techniką na powierzchnię grzech, grzech, spotykany na każdym kroku, za każdym węgłem ulicy, w oczach mijanych przechodniów.

Pod ogólnym tytułem „Czerwone i Niebieskie" widzimy w obrazie Leonji Nadelmanówny tenże sam stosunek artysty do dzisiejszego życia, usiłującego go chwycić w swe bezlitosne szpony wielkomiejskiej rozpusty. Ucieka od tego Herman Bolesław, chroniąc się w białą kompozycję

TESTAMENT

NOWELA

Rok cały minął od zgonu żony doktora medycyny, Ludwika Brzeskiego. Mimo to, nie mógł on w żaden sposób oswoić się z myślą, iż opuściła go na zawsze. Za dnia było jeszcze pół biedy, bo wytężona praca w szpitalu, na którego stał czele, absorbowała go w takiej mierze, że zapominał o bożym świecie. Kiedy zaś wieczorem wracał do domu, zaczynała się dla niego prawdziwa Gehenna. Już przy otwieraniu drzwi do mieszkania, serce zamierało mu, gdy uprzytamniał sobie, że wejdzie do pustki. Wprawdzie wierny służący jego, Józef, starał się utrzymywać wszystko tak, jak było za życia pani domu. Ale właśnie ten pozorny brak jakiejkolwiek zmiany, działał na Brzeskiego najboleśniej. Wydawało mu się za każdym razem czemś niepojętem, że jego ukochana Hela nie wita go w przedpokoju. Mimowoli zaś budził się w nim często nieuzasadniony niczem żal do poczciwego Józefa, gdy ten w swój cichy, pokorny sposób pomagał mu zdejmować palto. Wszedłszy potem do jadalni, Brzeski na chwilę łudził się, że Hela może się zjawi i razem z nim zasiądzie do stołu. Wnet jednak uciekał z tego pokoju do swej pracowni, by zatopić się w lekturze czasopism fachowych, lub jakiegoś nowego dzieła medycznego. Zaczytywał się, dopóki mu oczy nie poczęły się kleić. Czynił to zaś rozmyślnie, ażeby już nawpół senny wchodzić szybko do nieoświetlonej sypialni i we śnie znaleźć zapomnienie.

Najgorzej było zrana po przebudzeniu się. Wówczas to bowiem oddawał się całemu bezmiarowi swego nieszczęścia. Zaraz pierwsze spojrzenie na opróżnione łoże, zapierało mu oddech. Nie mógł pogodzić się z myślą, że nie usłyszy już nigdy jej pytania: „Jakże ci się spało, kochanie". Dławiąc łzy, szeptał bezustannie jej imię i w duchu widział ją tak żywą, że bezwiednie wyciągał ręce ku niej. Potem leżał jeszcze długo i zmrużywszy oczy, przywodził sobie na pamięć cały przebieg swego z nią pożycia.

Prawie dwadzieścia lat trwało ich małżeństwo. Były one jednem pasmem niezmąconego szczęścia. To też, kiedy rozmyśliwał o nich, zlewały mu się w niesłychanie krótki czas. W wyobraźni jego przesuwały się te lata z nadzwyczajną wyrazistością. Najsilniej zaś zarył mu się w pamięć okres, w którym poznał i pokochał Helę. Kiedy ujrzał ją po raz pierwszy u znajomych, uderzyła go nietyle urodą swoją, ile dziwnie bolesnym wyrazem cudnych oczu. Jakaś okrutna odzywała się w nich skarga, jakiś głęboki żal, kontrastujący niezmiernie z jej pełną dziwnego czaru istotą. Zagadkę tę rozwiązała mu później sama, zwierzywszy się, iż padła ofiarą człowieka niegodnego, którego pokochała pierwszą w życiu swem miłością. Stała mu się przez to zwierzenie jeszcze tylko droższą. Od tej chwili pragnął ją tak uszczęśliwić, by w pamięci jej zatarło się nazawsze to pierwsze rozczarowanie.

Odczuwała to Hela od samego początku ich pożycia i przylgnęła do niego za to całą swoją istotą. To też w ciągu długich lat ich małżeństwa, żadna prawie chmurka nie mąciła ich szczęścia. Nieraz tylko, gdy wracał po całodziennej pracy do domu, zdawało mu się, iż miała oczy zapłakane. Kiedy zaś dopytywał się, czy jej co dolega, uspakajała go oświadczeniem, iż nawiedzają ją czasem przykre wspomnienia. Domyślając się, jakiego one były rodzaju, Brzeski przechodził natychmiast na inny temat, ażeby przywrócić jej równowagę. Widział wówczas w jej oczach wyraźnie wielką wdzięczność. Aczkolwiek zaś na dnie duszy odczuwał pewien żal do niej z powodu tych reminiscencyj, nie dawał go nigdy po sobie poznać. Tem dłużej atoli zastanawiał się teraz w samotności nad tem, że myślą wracała wciąż do najboleśniejszego przeżycia swego. Wydawało mu się to tem bardziej zagadkowe, ponieważ nie ulegało dla niego wątpliwości, że czuła się z nim naprawdę szczęśliwą. Jeśli wogóle mogło jej co dolegać, to chyba tylko — brak dziecka. Zaprzeczała temu jednak żywo, ilekroć on temat ten poruszał, zapewniając jaknajczulej, że miłość dla niego wystarcza jej zupełnie.

Wśród swych codziennych po przebudzeniu się rozmyślań od chwili jej zgonu, Brzeski często przywodził sobie na pamięć te właśnie zagadkowe chwile, w których zauważył w jej oczach ślady płaczu. Czyżby jednak nie wyjawiła mu, co jej naprawdę dolegało? Czy może nie chciała go martwić wyznaniem, iż w rzeczywistości tęskniła, jak każda prawdziwa kobieta, za — dzieckiem? Nieznośny ból ściskał mu serce, ilekroć zastanawiał się nad tem. Jeśli ona bowiem z tej przyczyny cierpiała, jakże ciężkie musiało dla niej być życie? Na myśl o tem, w duchu tulił ją czule do siebie i szeptał jakieś słowa pocieszenia. Im częściej przemyśliwał o jej łzach, tem silniej utrwaliło się w nim przekonanie, że jedynym ich powodem mogła być — tęsknota za dzieckiem...

Tak było też pewnego poranku, kiedy doktór Brzeski, obudziwszy się, znowu myślami wracał do Heli. Właśnie ważył w duchu wszystko, co przemawiało zasłusznością jego przypuszczenia, gdy wszedł do sypialni służący Józef, blady jak trup i z wszelkiemi objawami niewymownego strachu. Zaniepokojony Brzeski zapytał, co się stało? Józef z trudem wybełkotał, że — powróciła nieboszczka pani. Usłyszawszy te słowa, Brzeski był przekonany, że służący nagle stracił rozum. Wyskoczył przeto szybko z łóżka, wziął Józefa mocno za ręce i patrząc mu bystro w oczy, zawołał: „Człowieku, co ty wygadujesz, co ci jest?" Odzyskawszy nieco równowagi, służący, drżąc jeszcze, jak w febrze, półgłosem jął pospiesznie opowiadać. Przed chwilą odezwał się dzwonek. Kiedy zaś on o-

chrztu, lecz i na niej widać ślady wspólnoty przeżyć z innych dziedzin. Szczerość, z jaką się ta młoda grupa odnosi do dzisiejszego życia i natury, nie pozwala im narazie zabłądzić w apolińską krainę słonecznej twórczości. Muszą czekać aż praca ich ducha sprowadzi im wyzwolenie, aż skończy się wędrówka po dantejskiem piekle tej ziemi i śliczna „Pani Beatrice" zaprowadzi ich do innych sfer. Wtedy dusze ich odetchną głębokiem „Alleluja", zrozumieją Zmartwychwstanie i inne życie w uwielbionem ciele.

* * *

O bardzo interesującej wystawie „Rytu" napiszemy oddzielnie.

Franciszek Siedlecki.

GŁOS SUMIENIA

— Święta idą, a ty nic?..

— Przecie wiesz... Skąd ci wezmę? Czwarty miesiąc chodzę bez pracy...

— ... po knajpach.

— Po knajpach! po knajpach! A co? Mam całemi dniami wystawać w przedpokojach. Dużo tam wystoję! To już prędzej w restauracji dowiem się o jakiem zajęciu, albo spotkam kogo, co interes nastręczy.

— Już ty zawsze masz rację.

— Pewno, że mam. Przez te kilka miesięcy—jak tam było, tak było — ale trochę zarobków się trafiło. Dwa razy chodziłem z przyszytą na plecach reklamą nowego obrazu; potem rozsprzedałem kalendarze ścienne; cały tydzień miałem prelekcje o nowym sposobie wiązania krawatów.. Teraz mi jeden obiecuje dać robotę u astrologa...

— U astrologa? Dużo się ty na tem znasz!

— Co tu się znać? Będę siedział w przedpokoju, jako klijent i opowiadał innym gościom, jak się wszystko sprawdziło, co mi astrolog wyprorokował.

— Ładna robota! Oszustwo!

— Wielkie nieszczęście. Niech się frajer martwi. Poco się daje bujać? Żadna praca nie hańbi. A wszystko to widzisz, trafia mi się przez stosunki. Gdybym czasem do restauracji nie zajrzał, ludzieby o mnie zapomnieli: niktby nie pomyślał, żeby mi zarobek nastręczyć.

Mówiąc to, pan Sulpicjusz, do niedawna nieźle sytuowany woźny świeżo zlikwidowanego domu bankowego „A. Kant i S-ka", czyścił rękawem filcowy kapelusz.

— Już cię znów gdzieś niesie — zauważyła pani Weronika.

— Muszę się zobaczyć właśnie ze znajomym tego astrologa. Miał się wywiedzieć, czy jeszcze miejsce wolne.

Wymizerowana małżonka obrzuciła go spojrzeniem, w którem malowało się niedowierzanie, nadzieja i gniew.

— Idź, idź, ty astrologu!

Sceptycyzm pani Weroniki był usprawiedliwiony, ale tylko częściowo. Mąż istotnie chciał się spotkać z przyjacielem, który obiecywał wyrobić zajęcie. Pozatem jednak ciągnęło go do knajpy i coś innego również.

— Rybka!

Wielki Piątek bez rybki, to obraza tradycji. Odkąd pracuje na siebie, odkąd kręci się śród ludzi, nigdy jeszcze nie było wypadku, żeby uczynił zawód kompanom i nie stawił się w umówionem miejscu dla wspólnego spożycia i oblania wielkopostnej rybki. Gdyby nawet nie miał dość grosza w kieszeni, nie tłomaczyłoby to nieobecności w gronie przyjaciół. W tym dniu bowiem rachowano się — jak bracia. Kto ma więcej, płaci więcej; kto mniej — może mniej płacić. Zawsze znajdzie się życzliwa dusza, co poprosi, zafunduje...

Jakże się więc oprzeć takiej pokusie?

Tylko że dawniej pani Weronika sama wyganiała z domu małżonka. Przy pieczeniu bab i mazurków, gotowaniu kiełbas i szynek, zdobieniu pisanek — mężczyzna potrzebny, jak dziura w moście. Kręci się, przeszkadza;p potrąci ciasto i zakalec gotowy.

— Idź, wcaleś tu niepotrzebny — mawiała.

Sulpicjusz nie dawał sobie tego dwa razy powtarzać. Wiedział, że jeśli nawet pod wieczór zjawi się w powalanem palcie i cudzym kapeluszu, żona piekła o to czynić nie będzie — chyba, że jej się baby nie udadzą.

Ale w tym roku niebezpieczeństwo to nie groziło. Na zimnym kominie nic się nie gotowało. Waluś i Jadzia bawili się zeszłorocznym barankiem gipsowym, który obecnie już nie miał nad czem panować.

Spojrzawszy na dzieciaki, ojcu zrobiło się trochę smutno. Zawsze on sam bodaj tą „rybką" się nacieszy; one zaś, biedactwa, żadnych świąt mieć nie będą. W wielkiej tajemnicy przed żoną zaoszczędził 10 zł., które miał teraz ukryte w kieszeni na wszelki wypadek... W knajpie może wypaść jakiś rewanż. Nie można przecież bez grosza leźć między ludzi.

— A możeby zostawić żonie te pieniądze? — przeleciało mu przez głowę.

Lecz w tejże chwili wyobraził sobie kompanów przy rybce. Trudno się wyrzec. Zresztą — ten astrolog...

Zawahawszy się chwilę, otworzył drzwi od sieni. Doleciał go jakiś uroczysty głos. To w mieszkaniu sąsiadki ktoś mówił przez radjo o znaczeniu zbliżających się świąt, o ich powadze. Sulpicjusz przystanął i słuchał.

Przypomniały mu się czasy, kiedy w te dni miał wielką uroczystość w duszy, kiedy z matką śpiewał piękne pieśni, a pięknie nakryty stół sprawiał niemal mistyczne wrażenie.

I raptem zrobiło mu się żal żony, syna, córki, więc podrapawszy się w głowę, zawrócił do mieszkania.

— Na, masz — rzekł do Weroniki — wyciągając pieniądze z kieszeni — trza dzieciakom jakieś tam święta urządzić.

Benedykt Hertz.

Z wielkopostnych rozmyślań

O Jezu Chryste, Ukrzyżowany,
Wejrz na me serce zdrożone, tułacze.
Pod Twoim Krzyżem kres mój pożądany,
Więc Krzyż obejmę i — płaczę...

Duch mnie modlitwy odstąpił pierzchliwy
Ty nie odrzucisz westchnienia ni łezki,
Spójrz na me rany, wszak Tyś litościwy
Samarytanin niebieski.

Z ufnością, Panie, przed Twojem obliczem,
Staję w mej wszystkiej nędzy i nicości,
Jezu, spójrz na mnie, chociaż jestem niczem,
Twe serce — przepaść miłości...

Do Ciebie idę w bólu i w cierpieniu,
Pragnący, głodny, schorzały, ubogi.
Panie — ach, przybądź mi — ku wspomożeniu,
O Jezu, przyjm mnie w swe progi...

Nic nie zrobiłem, a czekam na płace.
Próśb, błagań tyle, że mi sił nie stanie —
Ciebie mieć będę, choć wszystko utracę,
Ty będziesz ze mną — o Panie.

Wiem, że niejedna łza jeszcze przepłynie,
Zanim me serce sen śmierci zdobędzie.
Z Tobą iść pragnę przez świata pustynię,
Z Twym Krzyżem — ach — lżej mi będzie...

Gdy nie otworzysz na me kołatanie.
Gdy nie usłyszysz, kiedy będę prosić.
Jeszcze i wtedy Twój Krzyż mi zostanie,
O Jezu — będzie mi dosyć...

BOŻYMIR

tworzył drzwi, serce zamarło mu ze strachu. Na dworze bowiem stała — wielmożna pani i zapytała, czy pan doktór jest w domu. Wpuścił ją do przedpokoju, ale czując, że traci grunt pod nogami, pobiegł tu do sypialni.

Z prawdziwym żalem doktór Brzeski wpatrywał się w twarz służącego, nabrawszy po tem opowiadaniu już przekonania, że biedak rzeczywiście postradał zmysły. Na wszelki zaś wypadek, wyjął szybko z szuflady nocnej szafki proszek bromu, wsypał go do szklanki wody i kazał Józefowi wypić. Ułożywszy go następnie na kozetce, sam wyszedł do przedpokoju i — zdrętwiał. Ujrzał bowiem najwyraźniej — Helę. Ochłonąwszy jednak z pierwszego wrażenia, zapytał zdyszanym głosem: „Kto pani jest?" — „Helena Strzemieńska" — brzmiała odpowiedź. „Ależ to panieńskie imię i nazwisko mej nieboszczki żony!" — zawołał w najwyższem zdumieniu doktór. „Tak, panie doktorze, ale jest to także moje imię".

Zakłopotany, odrzekł Brzeski: „Nie wiedziałem, iż żona moja miała krewną tego samego nazwiska. Musi pani chyba być bardzo bliską krewną, bo — podobieństwo jest nadzwyczajne!"

„Tak — odrzekła półgłosem nieznajoma. — Dlatego też ośmieliłam się przyjść tak wczesnym rankiem do pana. Przepraszam bardzo, gdyż uczyniłam to tylko z tego powodu, że jestem tu zupełnie obcą. Przyjechałam dziś zrana".

Wpatrując się w nią wciąż jeszcze, jak w widmo, Brzeski powoli jednak odzyskał równowagę i uprzytomnił sobie nareszcie, że należy nieznajomą poprosić, by się rozgościła. Przypomniawszy sobie atoli, że Józef leży na kozetce w sypialni, sam wziął małą walizę nieznajomej do rąk i otworzył drzwi do jadalni. Kiedy znaleźli się w niej i nieznajoma na prośbę jego usiadła, zapytał serdecznie, czem jej może służyć.

W tej chwili ujrzał w oczach jej łzy i widok ten wstrząsnął nim do głębi. Teraz bowiem była tak niesamowicie do Heli podobna, że miał najzupełniejsze złudzenie, iż to ona sama. Mimowoli uchwycił jej rękę i głaskając ją, poprosił, by miała do niego pełne zaufanie.

Tłumiąc z widocznym wysiłkiem łzy, nieznajoma jęła cichym głosem opowiadać.

Już po pierwszych jej słowach, doktór oniemiał ze zdumienia.

„Uderzyło pana — tak mówiła nieznajoma — moje nadzwyczajne podobieństwo do nieboszczki. Niestety — nigdy jej nie znałam. Posiadam tylko jej fotografję, dzięki której wiem, jak bardzo do niej jestem podobna. A jednak była to — najdroższa dla mnie na świecie istota".

Nagły wybuch płaczu nie pozwolił nieznajomej dalej opowiadać. Wziąwszy ją znowu za rękę, doktór z jakimś zagadkowym niepokojem zapytał: „Jakiż to był stosunek pokrewieństwa?"

Nieznajoma, z której twarzy można było w tej chwili poznać, iż na to pytanie czekała, podniosła po raz pierwszy załzawione oczy ku doktorowi i wpatrując się w niego jakiemś niemem błaganiem, wykrztusiła z trudem: „To jest właśnie — tragedja mego życia".

„Dlaczego — tragedja?" — wyszeptał doktór, w którym wzmagał się dziwny niepokój.

Nieznajoma spuściła w tej chwili wzrok i twarz jej wyrażała straszną walkę wewnętrzną. Doktór obserwował ją z najwyższem naprężeniem. Miał wyraźne uczucie, że coś tajemniczego łączy go w tej chwili z tą obcą, a jednak mu niepojęcie bliską istotą.

Nagle nieznajoma, jakby po trudnem przezwyciężeniu się, otworzyła szybko swoją torebkę i wyjąwszy z niej list, wręczyła go doktorowi bez słowa, poczem zasłoniwszy oczy, cicho łkała.

Rzuciwszy spojrzenie na list, doktór odrazu poznał charakter pisma swej żony. Z drżeniem zaczął czytać:

„Mój najdroższy Ludwiku!

Gdy list ten dostanie się w Twe ręce, mnie już dawno na tym świecie nie będzie. Wiem, że byłeś najczulszym z mężów i dlatego wierzę, iż nie odmówisz błagalnej mej prośbie z za grobu. Kochałam Cię zbyt głęboko, bym za życia mogła zdobyć się na wyjawienie Ci tajemnicy, o której się teraz dowiadujesz. Zamąciłaby ona bowiem niezawodnie nasze szczęście, a wiesz, jak bardzo byłam z Tobą szczęśliwa. Wierzaj mi, mój najdroższy Ludwiku, że cierpiałam niewymownie na myśl, iż przed Tobą musiałam coś — ukrywać! Zrozumiesz jednak zapewne, że inaczej postąpić nie mogłam i przebaczysz Twej Heli. Nie weźmiesz mi też za złe, iż mimo mej bezgranicznej dla Ciebie miłości, nie mogłam wyzbyć się uczuć macierzyńskich wobec istoty, której przyjście na świat było wprawdzie tragedją mego życia, ale która jednak jest — krwią z mej krwi. Nie widziałam jej nigdy w życiu i trudno opisać, ile z tego powodu przecierpiałam. Prawdziwą Gehenną zaś była dla mnie — troska o jej byt. Wybacz mi, mój Ludwiku najdroższy, jeżeli z miłości macierzyńskiej nie wahałam się — Twoim groszem utrzymywać mojej córki. Innego wyjścia przecież dla mnie nie było. Wiedz, że na łożu śmierci, troska o moje dziecko nie dała mi rozstawać się z tym światem. W mej rozpaczy napisałam do Ciebie ten mój — ostatni list, którym z za grobu błagam Cię, Ludwiku najdroższy: Jeśli mnie naprawdę kochałeś, nie odmów prośbie mej i — zajm się losem mej dzieweczki.

Twoja Hela".

B. Szarlitt.

HUMOR WIELKANOCNY

O ile święta Bożego Narodzenia cechuje do pewnego stopnia nastrój uroczysty i dostojny, o tyle Wielkanoc obchodzona jest również dostojnie, lecz raczej pod znakiem wesołości. Składa się na to wiele przyczyn, nietylko obyczajowych, ale poprostu atmosferycznych.

Boże Narodzenie jest niejako ostatnim momentem zbierania plonów, całorocznej walki o kawałek chleba. Od jesieni zaczyna się gromadzenie zapasów na długą zimę. Sprzęt zbóż, jarzyn, ogrodowizn, owoców, przygotowywanie karmicielki ziemi pod nowy siew. Nareszcie gumna i stodoły są pełne, dnie stają się coraz krótsze, cała przyroda zamiera, a raczej wypoczywa, by na wiosnę rozpocząć energiczną pracę, czas której nie jest ograniczony żadnemi ustawami i paragrafami. A wraz z przyrodą odpoczywają i ludziska. W godności i dostojeństwie spożywają plony, a ciepło chat, do poważnych pogwarek i cudownych klechd raczej ich nastraja, aniżeli do figlów.

Inaczej jest ze świętami wielkanocnemi. Wypadają one w okresie zrównania dnia z nocą, na początku najpiękniejszej i najintensywniejszej pory roku — na wiosnę. Cała przyroda budzi się z długiego snu, ożywcze, rozrodcze soki zaczynają krążyć w tłustej glebie, konarach i pniach drzew, w arterjach oraz żyłach wszystkich stworzeń żyjących. Na nagiej, wilgotnej ziemi zielenią się pierwsze źdźbła trawy, rozchylają uśmiechnięte twarzyczki pierwsze kwiaty. Ciepły wiatr niesie niespokojne podmuchy, budzi w sercach tęsknoty i niepokoje.

To też Wielkanoc jest świętem dostatnio zastawionego stołu i wynagrodzenia sobie za kilkudziesięciodniową wstrzemięźliwość. Jest najklasyczniejszym przykładem krańcowej rozbieżności, jaka czasami panuje między teorją a praktyką. Piąty grzech główny otrzymuje całkowitą dyspensę w okresie wielkanocnych świąt.

A wiadomo, że o dobry humor, o krotochwilę, dowcip, najłatwiej przy kieliszku uczciwego wina, szlachetnego miodu, lub wreszcie poczciwej, naszej siwuchy. Zmartwychwstanie — to przecież święto radości i wesela — początek nowej ery — zwycięstwo idei chrystusowej nad światem. Przy mniej lub więcej suto zastawionym stole— niema miejsca na dostojność, powagę, zasiada przy nim— niecodzienny gość — radość.

Już sam widok rumianych szynek, smakowitych kiełbas, różnokolorowych mazurków, oraz złocistych babek, z za których wyglądają zalotnie szyjki butelek — napawa człowieka beztroską radością, chęcią życia i użycia. Pomijając owe nieprawdopodobne orgje gastronomiczne, do jakich należało święcone u Sapiehów w Dereczynie za Władysława IV, lub też przyjęcia wielkanocne u księcia Radziwiłła „Panie Kochanku“ w Nieświeżu, albo nakoniec, u schyłku zeszłego stulecia u hr. Zamoyskich w Warszawie, pomijając święcone po dworach i dworkach szlacheckich, w domach mieszczańskich czy chatach chłopskich: z Wielkanocą związane są pewne obrzędy, oraz zwyczaje, nadające mnóstwo okazji do wesołości, zabawy i psich figlów. To przedewszystkiem w całej Polsce i innych krajach słowiańskich obserwowany Śmigus, czyli Dyngus, oraz odpusty i zabawy ludowe pod Krakowem—„Emaus“ na Zwierzyńcu, jako też „Rękawka“ na wzgórzach Krzemionek, dla uczczenia legendarnego założyciela podwawelskiego grodu.

Wielkanoc, ze swymi zwyczajami, legendami, obrzędami, oraz zabawami, posiada obfitą swoją literaturę okolicznościową, nie mówiąc już o obyczajowej i etnologicznej. Utrwalili ją nietylko poeci w mniej lub więcej nastrojowych, czy frywolnych rymach, lecz kolorytem jej i dosadnością interesowali się mistrze ołówka i pędzla. Starsze pokolenie pamięta doskonale przepyszne, rodzajowe rysunki Andriollego, Kostrzewskiego, Pillatiego, czy Chodowieckiego wreszcie, rysunki, pełne sentymentu nieraz, a nieraz dokładnie złośliwe, lub rozśmieszające groteskowością figur i komicznego wyrazu.

Obficie zastawiony stół wielkanocny znalazł także swoich poetów. Przeważnie anonimowych. Oto jeden z nich, współczesny Mickiewiczowi, a może nieco późniejszy, pisze o babie wielkanocnej, nie oszczędzając równocześnie ukłucia autorowi „Dziadów“, który, aczkolwiek całe życie drapował się w togę nieszczęśliwej miłości do Maryli, to jednak był bardzo łasy na spódniczki:

Babo, o babo przedziwnego smaku!
Zdobi Cię lukier różanymi wzory,
Kolorowego nie szczędzono maku,
I w czub ci wpięto pęk bukszpanu spory.
Lekkaś, że dmuchnąć i nie będzie znaku,
Wskroś cię przejęły pachnące wapory,
I nikt w perfekcji twej nie znajdzie braku.
„Jako puch jesteś“ — tak wyrzekł poeta,
Który na babach znał się także przecie,
A ja to stwierdzam i wierzę poecie.
Bowiem największa dziś baby zaleta,
A dla gospodyni chluba i podnieta,
Gdy skosztowawszy: „jak puch!“ im powiecie.

Znów inny jakiś bezimienny wieszcz, parodjując tercyny „Boskiej komedji“ Danta — tak opisuje wdzięki kiełbasie:

I naliczyłem: kręgów siedem było…
Coraz to mniejsze ku środkowi biegły,
Kędy się jajko, jak wzgórek bieliło.
I na tych kręgach oczy moje legły,
I to wyznaję, że mi było miło
Widok tych kręgów oglądać rozległy.
O! bo nie były to piekielne kręgi,
Po których błądził Dante na dziwy łasy;
Były to złote, zrumienione wstęgi
Wędzonej, lśniącej, litewskiej kiełbasy.
I biegły po niej refleksy i pręgi,
A całość była niezrównanej krasy.

Skoro już mowa o poetyckich zachwytach na temat święconego, to niepodobna pominąć milczeniem prawdziwej ozdoby stołu wielkanocnego, mazurków, które też uwieczniono dowcipnym panegirykiem:

Hej, mazurek wielkanocny,
Ma przeróżne zwrotki,
Lecz sens zawsze ich jednaki:
Słodki, słodki, słodki.
Z marcepanu, czekolady,
Masy, lub szarlotki,
Jest mazurek ten przedziwny
Słodki, słodki, słodki.

Tego rodzaju okolicznościowe figielki, możnaby cytować bez końca. Może Wielkanoc, która już posiada całą literaturę folklorową i etnograficzną, doczeka się kiedyś specjalnej monografji humoru. Posiada bowiem niejedną pyszną kartę w anegdocie.

Na zakończneie sięgnijmy do „Silva rerum“ ks. Karola Żery z XVIII w., który zapisał wesołą dykteryjkę podlaską.

Pewnej Wielkiej Nocy wybrała się gromada, aby zgodnie ze zwyczajem, powinszować dziedzicowi i zanieść mu kobiałkę jaj w podarunku. Gromada wybrała oratora, który miał składać życzenia, a chór miał kończyć zdaniem: „I jejmości waszecinej i dziatkom waszecinym“. Gdy przybyli do dworu, orator rozpoczął:

My Boskie i waszecine sługi, przyszliśmy świąt wielkanocnych waszeci powinszować.

Grom: I jejmości waszecinej i dziatkom waszecinym...

Orat.: Życzymy waszeci zdrowia i najdłuższych lat życia.

Grom: I jejmości waszecinej i dziatkom waszecinym..

Tak składając życzenia, w pewnym momencie orator posunął się ku panu, chcąc wręczyć kobiałkę, a gromada ruszyła za nim, nie widząc, że oratorowi odwiązała się „obora“, t. j. długi rzemień od łapcia. Ktoś z gromady nastąpił na rzemień i orator runął jak długi na ziemię, tłukąc wszystkie jajka. Zerwawszy się, zaklął siarczyście:

— A bodajże cię djabli wzięli!...

Gromada, dobrze „wyreżyserowana“, zawołała chórem:

— I jejmość waszeciną i dziatki waszecine!..

* * *

Tempo współczesnego życia, wielkie zmiany, wywołane wojną, zacierają powoli tradycję, która przechowuje się jeszcze po dworach obywatelskich i w wieśniaczych chatach. W miastach święcone zachowało raczej swoją nazwę, aniżeli treść. Zanika też i okolicznościowy humor i anegdota przy suto zastawionym stole się rodząca. Babka, lub mazurek, przestały być źródłem poetyckiego natchnienia. Zastąpił je żydowski szmonces i kiepskiego gatunku dowcip polityczny.

Więc dobrze jest, chociaż raz w roku, przypomnieć sobie, jak to ongiś, naiwnie może, lecz bez porównania szczerzej się bawiono...

Jan Sokolicz Wroczyński.

NIEDZIELA PALMOWA NA OBCZYŹNIE

(Korespondencja własna „Dnia Polskiego“)

Casablanca, w marcu.

Budzą nas dźwięki dzwonów. Początkowo ciche, stopniowo potężnieją, nabierają mocy, wreszcie zlewają się w jeden potężny akord. To dzwony kościołów katolickich wieszczą marokańskiej ziemi radosne hosanna!, oznajmiają Niedzielę Palmową... Na święto to czekaliśmy z utęsknieniem — w tej krainie palm i kwiecia i wiecznego słońca, Niedziela Palmowa wygląda chyba jak cud! Pośpieszne zbieranie się, aparat fotograficzny i spory zapas klisz i wyruszamy na miasto. Ulice zalane słońcem, ziemia jeszcze wilgotna od nocnej rosy, wiaterek lekki od morza, powietrze czyste i przepojone jakąś pogodą i ciszą, niema hałasu i zgiełku dnia powszedniego.

Mimowoli myśl biegnie do kraju hen, daleko za morze... Czy też tam w Polsce znajdą się w tym roku kwiatki na palmy?... Może „tu tak jasno i tak pięknie, a w Ojczyźnie zima mroźna?...“

Dochodzimy do kościoła katedralnego. Katolicka Casablanca śpieszy na Mszę: czy to własnemi samochodami, czy na motocyklach, czy na rowerach, czy wreszcie piechotą. Przed kościołem czyni się gwar i tłok zajeżdżających aut i pojazdów.

Rozglądamy się gorączkowo, gdzie sprzedają „palmy“? Niema. Kilku chłopców europejskich biega tu i owdzie z zielonemi gałązkami oliwek (podobne do polskiej wierzby) i proponują je przechodniom za franki. I to wszystko! A więc takie są tutejsze palmy! Tu, gdzie tyle słońca, gdzie o prawdziwą palmę tak łatwo, a kwiatów o tej porze masy całe, — każda niemal piąstka wolnej ziemi kwieciem pokryta.

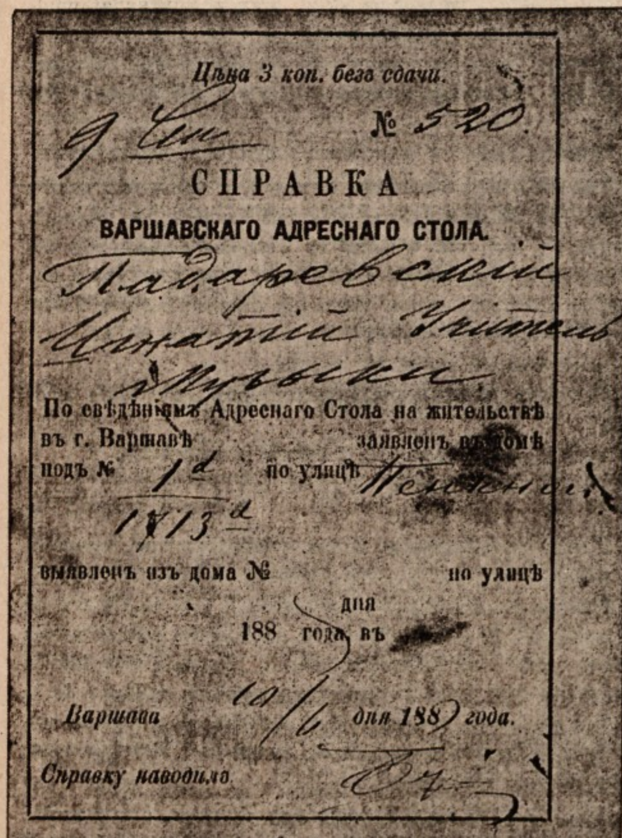
I znowu myśl biegnie do Kraju. W pamięci staje nasza „Kwietna Niedziela“. Kobiety wiejskie przed kościołem z koszami „palm“ z kotek wierzbowych i wiosennych bazi, a więc z tego, co najpiękniejszego w tym czasie ziemia nasza dać może! Rozszczebiotane przed kościołem dzieciaki — każde przecie musi mieć swoją własną palmę, która musi być poświęcona. Cisną się więc przed Wielki Ołtarz z wysoko podniesioną gałązką, aby tylko kropelka wody święconej ich nie ominęła. A potem niosą palmy do domu i na honorowem miejscu umieszczają i ma się wrażenie, że razem z tą wiązanką ubogiego kwiecia wchodzi do domu spokój i wesele i radosne oczekiwanie Wielkiego Święta.

Przed nami w kościele stoi chłopaczek spory już, sześcio, może siedmioletni w czapce na głowie przez całą Mszę św. — obok drugi rysuje patykiem po ścianie, trochę dalej inny gasi świece przed figurami świętych. Rodzice patrzą na to obojętnie. Dziewczynki wystrojone jak laleczki, śmieją się, biegają po kościele, witają ze sobą — i nikogo to nie gorszy.

Wróciliśmy do domu, nie zrobiwszy ani jednego zdjęcia, rozżaleni, że w tej słonecznej krainie kwiatów, Niedziela Palmowa nie jest taką, jaką mogłaby być.

Marja Seredyńska.

Z przed lat 50-ciu


Цѣна 3 коп. безъ сдачи.

№ 520

СПРАВКА

ВАРШАВСКАГО АДРЕСНАГО СТОЛА.

Падаревскій Игнатій Учитель Музыки

По свѣдѣніямъ Адреснаго Стола на жительствѣ въ г. Варшавѣ заявленъ въ домѣ подъ № 1d по улицѣ ... 1713d

выявленъ изъ дома № по улицѣ

дня 188 года въ

Варшава 10/6 дня 188 года.

Справку наводилъ

Niniejszy ciekawy dokument pochodzi z roku 1881. Zawdzięczamy go uprzejmości p. inż. H. Płużańskiej, której matka była uczennicą mistrza Paderewskiego, i, przybywszy do Warszawy, po skończeniu Szkoły Muzycznej w Krzemieńcu, pragnęła kształcić się w dalszym ciągu u młodego, lecz renomowanego już podówczas wirtuoza, o którego adres zwróciła się do Biura Adresowego przy magistracie m. Warszawy.

Treść kartki Biura Adresowego w tłumaczeniu polskiem brzmi:

„Cena 3 kop. bez reszty. Informacja Warszawskiego Biura Adresowego:

Padarewski (!) Ignacy, nauczyciel muzyki,
według wiadomości Biura Adresowego mieszkający w m. Warszawie, zameldowany jest w domu Nr. *1d/1713d* przy ulicy *Pięknej*...

Warszawa, *10.6.* 1881 roku.
Informacji udzielił *(podpis nieczytelny).*

Nowe książki

HENRYK SEE, prof. hon. Uniwer. w Rennes — **„Źródła Współczesnego Kapitalizmu“.** Przekład prof. Jerzego Kurnatowskiego. Nakład Fundacji Wieczystej im. H. J. Chankowskiego. Warszawa, 1932.

Książka ta jest zarysem historyczno-gospodarczym, zaopatrzoną przedmową tłumacza prof. Kurnatowskiego, dotyczącą studjowania historji gospodarczej. Książka Henryka Sée obrazuje pierwsze przejawy kapitalizmu w średniowieczu oraz w zaraniu historji nowożytnej, jako też wielki handel morski, kolonje i postępy kapitalizmu w XVI w., oraz kapitalizm handlowy i finansowy wieku XVII. Następnie zajmuje się ekspansją tegoż kapitalizmu w XVIII wieku oraz osłabieniem paktu kolonjalnego i pochodzeniem kapitalizmu przemysłowego. Zaznajamia nas z wielkim przemysłem i z nadejściem ustroju kapitalistycznego XX wieku oraz społecznymi skutkami ewolucji kapitalistycznej i wyciąga z tego ciekawe wnioski.

IZABELLA LUTOSŁAWSKA — **„Andrzej Korecki“.** Powieść współczesna nakładem Domu Książki Polskiej. Warszawa, 1932.

Powieść ta jest wysoce zajmującą i stanowi dalszy ciąg pracy utalentowanej autorki.

PETAR PETROVIĆ NJEGOŚ — **„Górski Wieniec“.** Wydarzenie dziejowe z końca XVI stulecia ze studjum krytycznem min. Lazarevica. Przekład Henryka Batowskiego. Stron 160. Nak. Domu Książki Polskiej. Warszawa, 1932.

„Górski wieniec“ jest znakomitym utworem Władyki Czarnogórskiego, Petra II Petrovića Njegośa i należy do najcharakterystyczniejszych dzieł literatury serbskiej, uznanych w Serbji za rzecz o nie przemijającej wartości klasycznej.

A. AUFFRAY — **„Pedagogja Świętego“.** Przekład Anny Zahorskiej. Nakładem Wydawnictwa Salezjańskiego. Warszawa, 1932.

KS. JAN SLÓSARCZYK — **„August Czartoryski, Książę Salezjanin“.** Nakładem Inspektoratu XX Salezjanów Warszawa, 1932. Z wieloma ilustracjami. Opisuje żywot bogobojnego Augusta Czartoryskiego.

Rezurekcje

W sobotę wieczorem lub w niedzielę o wschodzie słońca odbywa się uroczyste wyjęcie z grobu Przen. Sakramentu i potrójne obejście z Nim kościoła w procesji. Kapłan, przyodziany w białą kapę, w towarzystwie ministrantów, niosących kadzielnicę, wodę święconą i niezapalone świece, udaje się w milczeniu do Grobu Pańskiego.

Nabożeństwo rozpoczyna się majestatycznym śpiewem „Gloria Tibi, Trinitas“ (Chwała Tobie, Trójco). Kapłan po krótkich modlitwach kropi grób wodą święconą i okadza go. Formuje się procesja, w której niosą paschał, figurę zmartwychwstałego Chrystusa i krzyż, przepasany czerwoną stułą. Kapłan bierze do rąk Przen. Sakrament w monstrancji i, postępując w procesji, obchodzi kościół trzy razy. W czasie procesji chór wraz z ludem śpiewa pieśni: „Przez Twoje święte zmartwychpowstanie“ lub „Wesoły nam dziś dzień nastał“. Po powrocie do kościoła kapłan stawia monstrancję na ołtarzu, bierze krzyż, okryty czerwoną stułą i, ukazując go ludowi, śpiewa trzy razy coraz wyższym głosem: „Surrexit Dominus de sepulcro“ (Zmartwychwstał Pan z grobu). Następnie dla podziękowania Bogu za dobrodziejstwa, śpiewa się „Te Deum laudamus“.

Po procesji bywa też zwykle odprawiona jutrznia. Paschał i figurę zmartwychwstałego Chrystusa umieszcza się na ołtarzu.

Z życia prowincji

Powiat Nieświeski w hołdzie Marsz. Piłsudskiemu

W powiecie nieświeskim woj. nowogródzkiego wszystkie gminy miejskie i wiejskie uchwaliły jednogłośnie na uroczystych posiedzeniach nadanie obywatelstwa honorowego Marszałkowi Piłsudskiemu. Akt nadania obywatelstwa wykonano nadzwyczaj artystycznie na pergaminach w pięknym albumie, oraz inkrustowanej okładce, w kasecie z mahoniowego drzewa. Całość wykonana została własnemi siłami pow. nieświeskiego.

Akt przewieziony zostanie do Warszawy przez delegację powiatu nieświeskiego, ze starostą powiatowym, Cedzyńskim, sen. Jeleńskim i pos. Szymanowskim na czele. Delegacja ta połączy się z delegacją ziemi nowogródzkiej z wojewodą Biernackim na czele.

Wygaśnięcie umów zbiorowych na G. Śląsku

Z dniem 1 kwietnia wygasają umowy zbiorowe w górnictwie węglowem, w hutnictwie żelaznem, kopalniach rudy cynkowej i w hutnictwie cynkowem na Górnym Śląsku.

W związku z tem, oczekiwane jest w najbliższych dniach podjęcie pertraktacyj, celem zawarcia nowych umów.

Głównym punktem spornym w rokowaniach o nowe umowy zbiorowe będzie sprawa urlopów robotników.

ŁÓDŹ

— **Zgon art.-malarza Pietkiewicza.** W dniu dzisiejszym zmarł po dłuższej chorobie na serce Eustachy Pietkiewicz, lat 43, artysta-malarz, który od kilku lat brał żywy udział w życiu artystycznem m. Łodzi. Ś. p. Eustachy Pietkiewicz jest wnukiem Adama Pietkiewicza-Pługa, długoletniego redaktora „Kurjera Warszawskiego“.

BYDGOSZCZ

— **Śmierć literatki pomorskiej.** W Wichulcu, pow. brodnickiego, zmarła onegdaj ś. p. Anna z Bardzkich Karwatowa, znana i ceniona powieściopisarka i poetka pomorska. Zmarła liczyła lat 78.

LIDA

— **Posiedzenie Wojewódzkiego T. O. i K. R.** W sali konferencyjnej starostwa lidzkiego odbyło się pod przewodnictwem wice-prezesa Dębickiego z Nowogródka posiedzenie Wojewódzkiego Tow. Organizacyj i Kółek Rolniczych, na którem omawiano szereg aktualnych zagadnień gospodarczych, jak: sprawę skupu i zbytu lnu, płótna i wełny, wiosennej pomocy siewnej oraz powołanie Wojewódzkiego Komitetu pomocy ofiarom kryzysu.

WILNO

— **Wielkanocne przepustki graniczne do Litwy.** Starania ludności polskiej i litewskiej w kierunku wyjednania u władz przepustek granicznych na święta Wielkanocne, zostały pomyślnie załatwione. Władze administracyjne polskie i litewskie będą udzielały przepustek granicznych młodzieży szkolnej, uniwersyteckiej i niektórym rolnikom, oraz działaczom na przekroczenie granicy polsko - litewskiej i odwrotnie. Przepustki będą wydawane na przeciąg jednego tygodnia.

— **Nieudały napad bandycki na folwark.** Do folwarku Helenowo, gminy zabrzeskiej, wdarło się **trzech uzbrojonych bandytów,** którzy, steroryzowawszy domowników, przystąpili do rabunku, w trakcie którego jeden z chłopców folwarcznych **uciekł konno i zawiadomił o napadzie policję.** Przybyła policja natknęła się na bandytów, którzy z workami, naładowanemi mieniem, uciekali do lasu. **Nastąpiła wymiana strzałów, lecz policja opanowała w krótkim czasie sytuację i bandytów aresztowała.** Aresztowanymi okazali się Julian i Atanazy Sudkinowie i Bronisław Pułko, mieszkańcy wsi Słobody, tejże gminy. Przy rabusiach **znaleziono 2 karabiny, rewolwer oraz amunicję.** Aresztowani staną przed sądem doraźnym.

Mody

CO PRZYNOSI WIOSNA

Jak zawsze, po upływie długiej i ponurej zimy, z radością rozstajemy się z poważnemi, ciemnemi sukniami, aby włożyć coś żywszego, bardziej harmonizującego z promieniami wiosennego słońca.

Zacna czarna suknia, która przez całą zimę oddawała nam nieocenione usługi, raz z bolerkiem, raz bez bolerka, to znów z kolorowym żakiecikiem — może sobie odpocząć na jakiś czas. Nie znaczy to, aby przestała zupełnie być potrzebna. Nie, zdarzy się napewno okazja, że trzeba będzie się z nią pogodzić, jak z koniecznym mundurkiem, ale narazie — tęsknimy do barwy, do rozrywki dla oka, pola do wyobraźni. Mówmy więc o materjałach kolorowych.

Wiosna 1932 r. przynosi nam całą gamę barw niebieskich, od jasnych do granatowych, z wyróżnieniem szafiru. Prześliczne lekkie wełny, tkane grubo i przezroczyście, jak kanwa, łączone są z jedwabiami w pasy i kropki. Kostjumy i sukienki typu kostjumowego bardzo są modne tej wiosny. To znaczy, że góra z krótkiemi rękawkami jest z jedwabiu, a spódniczka, przymocowana i zachodząca na bluzkę aplikacjami do połowy biustu, jest z wełny. Króciutki żakiecik dopełnia całości. Trudno jest nawet nazwać bluzeczką coś, co na plecach wygląda raczej na duży kwadratowy kołnierz, a z przodu na jakieś fantazyjne przybranie sukni.

Jedwab, używany do tych kostjumów o jednolitym kolorze, najładniej wygląda w pasy, ogromnie modne w tym roku. Do szafirowych kostjumów — np. biały jedwab w pasy niebieskie i czarne. Albo niebieski w pasy białe i ciemno-granatowe i czarne. Modne są także kropki, ale wygląda to mniej sportowo i nosi się więcej w całych sukniach.

Nieśmiertelna moda dżemprów ze spódniczkami przeżyła w chwale i ten rok. Może dlatego, że jest naprawdę wygodna i praktyczna dla kobiet pracujących. Każdy sezon przynosi tylko pewne zmiany, wskutek których dżempry zeszłoroczne nie mają już piętna świeżości. Wiosna przyniosła nam prześliczne modele wiedeńskie lekkich i bardzo miękkich w dotyku dżemperków z cienkiej włóczki, przeważnie w kolorach szafirowych, rdzawo-czerwonych lub bronzowych. Koło szyi mają rodzaj kwadratowego śliniaczka z włóczki innego koloru, odpowiednio dobranego i zapięte są na dwa metalowe błyszczące guziki. Najmodniejsze (i najładniejsze) połączenia kolorów: bronzowy z bananowym, szafirowy z niebieskim, białym albo granatowym, zielony z bananowym, albo zielonym w bledszym odcieniu. Nosi się dżempry ze skórzanym paskiem do wełnianej spódniczki. Czasem, zamiast guzików wiązane są na dwa pompony lub ozdobione pęczkiem kwiatów włóczkowych na ramieniu.

Bo kwiaty są bardzo modne. Kwiaty z włóczki, kwiatki z celofanu i nawet błyszczącego papieru, na kapeluszach, na sukniach — wszędzie.

Znikają tylko z deseni materjałów wiosennych. Zastępują je paski i kropki. Ale zaczekajmy do lata: znajdą się wówczas napewno!

Anita.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

Sobota dn. 26 marca

DZIŚ: † W. Emanuela. JUTRO: Zmartwychwstanie Chr. P.
Wschód słońca 5.26, zachód słońca 17.59
Przybyło dnia 4.49
Wschód księżyca —, zachód księżyca 7.01
Długość dnia 12.33

KOSCIELNE

— REKOLEKCJE RADJOWE DLA CHORYCH

Dzięki inicjatywie Polskiego Sekretarjatu Apostolstwa Chorych (Lwów, ul. Fredry 3) i przychylnemu stanowisku rozgłośni lwowskiej w roku bieżącym urządzono po raz drugi rekolekcje radjowe dla chorych w dniach 9 — 11 marca. Rozważania rekolekcyjne wygłaszał ks. Michał Rękas, który od półtora roku prowadzi już audycje dla chorych w rozgłośni lwowskiej. Rekolekcje były słuchane przez tyiące chorych. Wielkie powodzenie tych rekolekcyj i lwowskich audycyj dla chorych, które od pewnego czasu są raz na miesiąc transmitowane na wszystkie rozgłośnie polskie, wskazuje drogi, któremi radjo mogłoby jeszcze więcej zrobić dla realnego pożytku swoich słuchaczy.

OGOLNE

— OD REDAKCJI

Następny numer „Dnia Polskiego“ ukaże się we wtorek, dn. 29 b. m., o zwykłej porze.

— BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO DLA BEZROBOTNYCH

Rada Nadzorcza Banku Gospodarstwa Krajowego uchwaliła na posiedzeniu w dniu 22 b. m. przeznaczyć na pomoc dla bezrobotnych 100.000 złotych. Suma powyższa została przekazana jeszcze przed świętami do dyspozycji Naczelnego Komitetu do spraw bezrobocia przy Prezesie Rady Ministrów.

— WIELKI ZJAZD NAUCZYCIELSKI

W dniu 30 marca r. b., w lokalu II-go Gimnazjum Miejskiego (ul. oRzbrat 26), odbędzie się, w obecności władz szkolnych i instytucyj społeczno - oświatowych i kulturalnych, otwarcie II-go Zjazdu słuchaczów Wyższego Kursu Nauczycielskiego. W zjeździe bierze udział około 300 nauczycieli z całej Polski, nauczyciele Polacy z Prus Wschodnich i Wolnego Miasta Gdańska. Zjazd trwać będzie 7 dni, od 30 marca do 5 kwietnia r. b. włącznie.

— WŁOSKI CHÓR KOŚCIELNY PRZYJEŻDŻA DO POLSKI

W najbliższym czasie słynny chór m-gra Rafaela Casimiri ma wyruszyć do Polski na szereg występów we wszystkich większych miastach polskich. Chór ten składa się z członków chórów bazylik rzymskich, oraz wybitniejszych śpiewaków słynnego chóru Kaplicy Sykstyńskiej. Mgr. Casimiri, dyrygent chóru, uważany jest za jednego z najwiękzych znawców muzyki religijnej, pochodzi on podobno z rodziny polskiej Kazimierskich, która w 17-em stuleciu wyemigrowała do Włoch i osiadła w Rzymie.

— ZNAKI KLUBOWE NA SAMOCHODACH

Min. S. W. wyjaśnia w sprawie znaków klubowych na pojazdach mechanicznych, co następuje: W myśl paragrafu 20 ustawy 6 lit. e rozporządzenia b. min. Robót Publ. i min. Spr. Wewn. z dnia 27 stycznia 1928 r., dopuszczalne jest umieszczanie znaków klubów automobilowych krajowych na samochodach i motocyklach. Ministerjum uważa również za dopuszczalne, by samochody, pochodzące z jednego z państw, które przystąpiły do międzynarodowej konwencji z dnia 11 października 1909 r., dotyczącej ruchu automobilowego, pozostawiały przy przejeździe przez terytorjum Polski oznaki klubów automobilowych zagranicznych, o ile członkowie klubów automobilowych krajowych mogą korzystać z analogicznego prawa w danem państwie.

MIEJSKIE

— WIECZÓR NOWOCZESNEJ POEZJI WŁOSKIEJ

Polski Klub Artystyczny i Koło Polsko - Włoskie im. Leonarda da Vinci, organizują wspólnie w środę, 30 marca, w sali Klubu Artystycznego (Jerozolimska 39), wieczór znanego poety i italjanisty krakowskiego, Jalu Kurka. Prelegent wygłosi odczyt p. t. „Nowoczesna poezja Włoch“, który zilustruje swojemi przekładami z poetów włoskich, poczem wygłosi szereg własnych poezji po polsku i po włosku. Początek o godz. 8-ej wiecz.

— CYKL KONCERTÓW POPULARNYCH NA BIEDNYCH

Warszawskie Koło Związku b. wychowanek Zakładów Naukowych SS. Urszulanek, pragnąc przyjść z pomocą ubogim, urządza cykl koncertów popularnych w wykonaniu orkiestry smyczkowej Filharmonji Warszawskiej, udostępniony dla wszystkich. Artystyczne kierownictwo tych koncertów objął wirtuoz i dyrygent Filharmonji Warszawskiej, p. Kazimierz Wiłkomirski. Koncerty odbywać się będą codziennie, poczynając od dnia 29 marca r. b. o godz. 9-ej wieczorem, w wielkiej sali kawiarni Lours'a (Krakowskie Przedmieście).

Sprawa istnienia Komitetu do Spraw Bezrobocia

Jak się dowiadujemy, sprawa dalszego utrzymania Naczelnego Komitetu do Spraw Bezrobocia, który utworzony został na czas do 1 kwietnia r. b., nie została jeszcze ostatecznie zdecydowana.

Naczelny Komitet wystąpił do rządu z wnioskiem częściowej likwidacji, a mianowicie z projektem dalszego utrzymania sekcji pracy, przy jednoczesnem zlikwidowaniu sekcji pomocy bezrobotnym. Jak słychać jednak, w łonie rządu przeważa tendencja dalszego utrzymania całkowitej działalności Komitetu.

Jednocześnie rozstrząsana jest sprawa dalszego stosowania dopłat na rzecz bezrobotnych do opłat telefonicznych, telegraficznych i pocztowych. Opłaty te prawdopodobnie zostaną zniesione. Ostateczne decyzje w sprawie istnienia Naczelnego Komitetu, oraz utrzymania dopłat, zapadną przed końcem miesiąca.

Tramwaje i autobusy w święta

W myśl zwyczaju dorocznego, wszystkie miejskie tramwaje i autobusy zaczną zjeżdżać do remiz i garażów w Wielką Sobotę o godz. 6 wiecz. Przez niedzielę tramwaje będą nieczynne. Ruch tramwajów wznowiony będzie w niedzielę o godz. 22, a autobusów w poniedziałek o zwykłej porze.

Na wszystkich linjach autobusowych, utrzymywanych przez Państwowe Zakłady Inżynierji, ruch w Wielką Sobotę trwać będzie do godz. 8 podług normalnego rozkładu jazdy, zamiast, jak zwykle, do 12. W pierwszy dzień świąt komunikacja będzie również utrzymana, przyczem autobusy wyruszą na miasto o godz. 10 rano. W drugi dzień świąt zachowany będzie ruch normalny. W ten sposób zapewniona będzie komunikacja autobusowa dla mieszkańców Żoliborza, Czerniakowa i Zacisza również w pierwszym dniu świąt.

Z powodu przerwy w ruchu tramwajowym i autobusowym oraz ustania ruchu towarowego w okresie świątecznym, na jezdni pozostaje więcej miejsca, co wykorzystywują szoferzy, rozwijając nadmierną szybkość i powodując większą liczbę nieszczęśliwych wypadków.

W razie spowodowania wypadków wskutek nieprzestrzegania przepisów o ruchu lub nadużywania alkoholu, wreszcie w razie stwierdzenia przebywania kierowcy samochodowego w stanie nietrzeźwym, odbierane będą bezwzględnie na miejscu, w trybie doraźnym, prawa jazdy.

— ŚWIĘCONE DLA NAJBIEDNIEJSZEJ DZIATWY I RODZIN BEZROBOTNYCH

Dorocznym zwyczajem, warszawskie koła młodzieży Polskiego Czerwonego Krzyża urządzają w pierwszym i drugim dniu świąt Wielkiejnocy święcone dla najbiedniejszej dziatwy, oraz rodzin bezrobotnych. Święcone urządzane będzie w bursach, sierocińcach, oraz w szkołach powszechnych. Jednocześnie dziatwa otrzyma drobne upominki, odzież i t. p.

— OSTATNIE DNI WYSTAWY OBRAZÓW U B-CI JABŁKOWSKICH

Ciesząca się nadzwyczajną frekwencją, przedłużona jeszcze na dni kilka, wystawa obrazów polskich artystów malarzy w podziemiach D. T. B-ci Jabłkowskich, zamyka swe podwoje dnia 28 b. m. Ogólną uwagę zwracają na siebie świeżo przybyłe prace art. mal. p. Jeska, Schayer-Gorskiej, prof. Olszewskiego, K. Winklera, A. Wilińskiego, Fr. Sunderlanda, Wł. Stachowskiego, J. Wysokińskiej i M. Szokalskiej.

— DOŻYWIANIE DZIECI SZKOLNYCH

Według ostatnich danych, korzysta obecnie w Warszawie z bezpłatnego dożywiania 27.219 dzieci. Mimo feryj wielkanocnych, dożywianie trwa bez przerwy.

Z Teatrów

OPERA. Dziś i jutro przedstawienia w operze zawieszone. W poniedziałek o godz. 3 po poł. po cenach zniżonych balet L. Różyckiego **„Pan Twardowski“**, z występem p. Szmolcówny.

Wieczorem w poniedziałek arcydzieło Moniuszki **„Halka“**; role tytułowa wykona p. Bojar-Przemieniecka.

We wtorek melodyjna opera komiczna Straussa **„Noc w Wenecji“**

NARODOWY w pierwszy dzień świąt nieczynny. W poniedziałek o godz. 4-ej po poł., po cenach zniżonych, piękna sztuka Szaniawskiego **„Adwokat i róże“**.

Wieczorem i dni następnych arcydzieło szyllerowskie **„Don Karlos“**, z pp.: Solskim, Malicką, Węgrzynem i Lindorfówną.

NOWY w niedziele zamknięty. W poniedziałek sztuka Sommerset - Maugham'a **„Święty płomień“**.

W piątek pierwsze przedstawienie pogodnej komedji włoskiej M. Cammasio i N. Ocilia **„Młodość szumi“** (Addio giovinezza) z J. Smosarska i T. Wesołowskim w rolach naczelnych.

LETNI w pierwszy dzień świąt nieczynny. W poniedziałek o godz. 4 po poł., po cenach zniżonych, krotochwila angielska **„Omal nie noc poślubna“**.

Wieczorem o godz. 8 premiera komedji Ludwika Verneuil'a p. t. **„Bank Nemo“**, z J. Leszczyńskim, Gorczyńska, A. Fertnerem, Kurnakowiczem, Hnydzińskim, Rapackim, Grodzickim i Ziembińskim.

POLSKI. Dziś przedstawienie zawieszone. W niedziele, poniedziałek i wtorek ostatnie 3 przedstawienia komedji Grzymały - Siedleckiego **„Ich synowa“**.

W poniedziałek o godz. 4-ej po poł., po cenach zniżonych ostatni raz komedja amerykańska **„Panna młoda z dachu“**.

W środę 30 b. m. premjera sztuki Bernarda Shaw'a **„Pigmaljon“**, w inscenizacji i reżyserji Al. Węgierki. W roli głównej wystąpi Romanówna. Inne role ważniejsze grają: Sulima, Słubicka, Tarnowiczówna, Buszyński, Dominiak, Węgierko, Pawłowski, Bogusławski, Dereń, Lisowski i Zajączkowski.

MAŁY. Dziś przedstawienie zawieszone. W niedziele i dni następnych pełna humoru komedja Winawera **„Po prostu truteń“**, z Kamińska, Leszczyńska Munclingerowa, Maszyńskim, Mierzejewskim i Zelwerowiczem na czele.

W poniedziałek o 4-ej po poł. po cenach zniżonych, komedia Kiedrzyńskiego **„Szczęście od jutra“**.

„ATENEUM“. Jutro i dni następnych **„Panna Maliczewska“** G. Zapolskiej, z p. Mira Zimińska w roli głównej.

W przygotowaniu sztuka Fr. Porché „Car Lenin“, z udziałem Jaracza w roli Lenina. Inscenizacja Iwo Galla. Przekład J. Zawieyskiego.

NOWOŚCI. Jutro i dni następnych ciesząca się wybitnem powodzeniem doskonała operetka Lehara **„Carewicz“** w świetnej obsadzie na czele z pp.: Kulczycka i Wawrzkowiczem.

„QUI PRO QUO“. Dziś przedstawienia zawieszone. W niedziele, poniedziałek i wtorek o godz. 7.15 i 9.45, arcywesoła rewja **„Miłe złego początki“**, która utrzyma się na repertuarze tylko do dnia 30 b. m.

„MORSKIE OKO“ (Jasna 3) W niedziele i dni następnych rewja p. t. **„Złota defilada“**. Na czele zespołu Zizi Halma Parnell.

BANDA. Jutro i codziennie **„100% Bandy“**.

NOWY ANANAS. Codziennie rewja świąteczna p. t.: **„Kwiat z Hawai“**, z udziałem całego zespołu z Hanką Runowiecka, Ina Benita i Pilarskim na czele.

ŚWIĄTECZNY PORANEK MUZYCZNY W FILHARMONJI

W poniedziałek, 28 marca o godz. 12 m. 15 w poł., odbędzie sie koncert popularny, w wykonaniu orkiestry filharmonicznej pod dyr. Tadeusza Mazurkiewicza i przy udziale Micaeli Barmas, skrzypaczki z Berlina i śpiewaczki Doroty Gutowskiej (sopran koloraturowy).

Repertuar kinoteatrów

Apollo (Marszałkowska 106): — **„Puszcza“**.
Atlantic — (Chmielna 33): — **„Rok 1914“**.
Capitol — „Waterloo Bridge“.
Casino (Nowy Świat): — „Ulani, ulani...“
Colosseum (Nowy-Świat): — **„Dzikie pola“**.
Hollywood — „Taka słodka dziewczyna jak ty“.
Filharmonja — „Kapitan Whalan“.
Majestic — „Wiara, nadzieja i miłość“.
Palace (Chmielna 9): — „Liljanka sie rozwodzi“.
Pan (Nowy Świat 40): — Waterloo Bridge“.
Stylowy (Marszałkowska 108): — „Legjon ulicy“.
Światowid (Marszałkowska 111).—„Szanghaj Express“.

Nekrologja

Karolina z bar. Taube Gnatowska, lat 77. Pogrzeb odbędzie się na Powązkach dn. 30 b. m. po nabożeństwie w kościele św. Krzyża.

Henryk Gogga, sędzia śledczy, lat 45. Pogrzeb odbędzie się dn. 25 b. m.

Helena z Mossakowskich Polańska, lat. 34. Pogrzeb odbędzie się dn. 26 b. m. na Bródnie.

O kremach w świetle nowoczesnej wiedzy

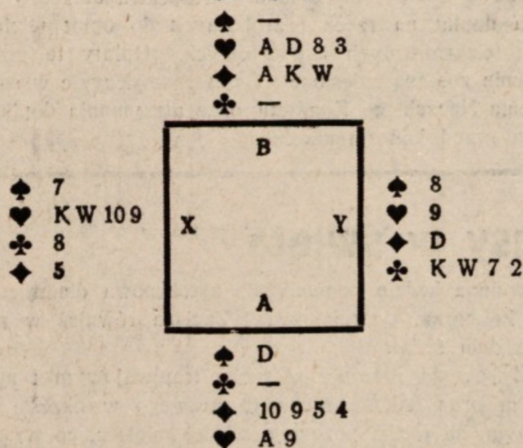
W dziedzinie pielęgnowania cery i skóry ciała, mają kremy wybitnie skuteczne działanie, o ile krem bywa jakościowo i indywidualnie do danych potrzeb ściśle dostosowany i racjonalnie zastosowany. Dotychczasowa wytwórczość nie uwzględnila konieczności indywidualizowania, dziś zaś wystrzegamy się uniwersalnych kremów, ponieważ wiedza wykazała ich bezcelowość. Byle tłuszcz z zapachem nie zasługuje na miano kremu. I tak np. prawidłowa cera nie wymaga zbytniego natłuszczania, a tylko odsłonienia młodocianej warstwy naskórka, co osiąga się matowym kremem „Mira“ D-ra Lustra. Wiotczejąca, sucha cera wymaga zasilenia jej ożywczemi składnikami, przy pomocy gorących spłókiwań i naparzań nad parą. Do tego znów celu nadaje się doskonale ożywczy krem „Oxa“ D-ra Lustra. Wykwintny, acz tani krem „Ultrasol“ stanowi tarczę ochronną przed zmianami atmosferycznemi, wilgocią, zimnem, słońcem, podczas wysiłków tanecznych i sportowych. Stąd nazwa jego: krem sportowy. Dla tłustej cery nadaje się wyłącznie mleczko „Lityna“.

Dr. Zenon B.

BRIDGE

ZADANIE Nr. 15.

(Drukuje się w porozumieniu z redakcją dwutygodnika „Bridge").



Atu — piki. B wychodzi i oddaje jedną lewę.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Nr. 9.

	A	X	B	Y
1.	**D trefl**	W trefl	K karo	10 trelf
2.	10 karo	W karo	**6 kier**	7 karo
3.	**K**	2	3 pik	8
4.	**D kier**	8	4 pik	10
5.	**7 trefl**	6 karo	6 pik	9 pik
6.	5 pik	—	**A pik**	—
7.	—	—	**W pik**	—
	Albo też:			
5.	—	—	—	9 karo
6.	**8 karo**	—	—	—
7.	5 pik	—	A pik	—

czyli AB biorą wszystkie 7 lew

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: Broniewski, Piotrowski i Lenartowicz.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Nr. 10.

	A	X	B	Y
1.	2 trefl	4	**3 kier**	W trefl
2.	8 karo	**2 kier**	As pik!!	8
3.	3 trefl	6 trefl	**7 kier**	D trefl
4.	5 trefl	9 karo	**D pik**	W pik
5.	**W kier**	9 trelf	2 pik	9 kier
6.	10 trefl	—	—	**A kier**
7.	**5 kier**	—	—	3 karo

czyli AB biorą razem 5 lew.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: Dąmbski, Lubieński, Piotrowski i Lenartowicz.

RADJO LIGI NARODÓW

Myśl stworzenia wszechświatowego łącznika narodów, jakim jest radjo, została urzeczywistniona. W pobliżu Genewy powstaje wielka stacja krótkofalowa, zbudowana przez Ligę Narodów. Przy czynnym udziale szwajcarskich władz radjowych, Marconi buduje stację o mocy 20 kW., pracującą na fali w zakresie od 14 — 100 metrów, a mianowicie na falach 15, 19, 35 metrów, oraz Societé Generale de T. S. F. buduje stację o tej samej mocy, przystosowaną do nadawania na falach 15, 18, 35 mtr. Stacje te połączone są z systemem anten nadawnych przez specjalny rozdzielacz antentowy, umożliwiający korzystanie w każdej chwili z odpowiedniej anteny. Samo urządzenie antenowe należy do najciekawszych ze względu na to, iż każda z firm budujących zastosowała swe długoletnie doświadczenie na tem polu.

Anteny Marconi'ego są kierunkowe i to w stronę Ameryki Południowej i Dalekiego Wschodu. Typ „Marconi" kształtu litery „T" refleksyjny.

Druga grupa anten systemu „Telefunken" ma za cel kierunek Jawa i Karakas oraz posiada odpowiednie radjoreflektory, zawieszone na szeregu masztów i wież w ilości przeszło 60 sztuk, tworzących cały las żelaznych gigantów. Poza niemi zbudowano anteny o kierunku na Amerykę Północną i Bombay, oraz szereg anten do przełączania przy użyciu fal 20 i 60 metrów. Wszystkie anteny są zasilane tak zwanemi feederami kablowemi. Kierunek nadawania może być w pewnych granicach zmieniany.

Europa jest obsługiwana przez stację długofalową, przystosowaną narazie do radjotelegrafji, z której w szerokim zakresie korzystają odbiorcze stacje prasowe całego świata.

Do całości tych urządzeń należy jeszcze jeszcze stacja odbiorcza w Colowrex. Wyposażona w 14 odbiorników, połączonych z odpowiednim rozdzielaczem antenowym, załączającym każdy odbiornik na odpowiednią antenę w zależności od kierunku odbioru fali. W wypadkach trudności ustalenia kierunku, zastosowane są specjalne poszukiwacze kierunków, ułatwiających odbiór.

W związku z wprzęgnięciem radja do pracy Ligi narodów, nie od rzeczy wspomnieć będzie o Międzynarodowej Unji Radjofonicznej, której siedziba mieści się właśnie w Genewie i która olbrzymią rolę odgrywa w nawiązaniu przyjaznych stosunków między poszczególnemi narodami. Poprzez broadcastingi poszczególnych państw, nawiązuje się nici przyjaznej współpracy między oddalonemi nieraz o tysiące kilometrów krajami. Akcja Międzynarodowej Unji Radjofonicznej w tym kierunku idzie całkowicie po linji poczynań Ligi Narodów, a jest ona tembardziej doniosła, iż Międzynarodowa Unja Radjofoniczna jednoczy dzisiaj wszystkie broadcastingi europejskie i zdołała nawiązać pewien kontakt również i z radjofonją sowiecką, która do niedawna znajdowała się pozą kręgiem wpływów Unji.

Jednocząca i pokojowa działalność radjofonji na terenie międzynarodowym jest w dużej mierze zasługą radjofonji polskiej, od której kilka lat temu wyszła inicjatywa organizacji międzynarodowej wymiany programów radjowych. Myśl ta przyjęła się bardzo szybko i wydała piękne rezultaty pod postacią stałych międzynarodowych koncertów radjowych, transmitowanych niejednokrotnie przez sto i więcej stacyj całego świata.

Silna sytuacja radjofonji polskiej na terenie międzynarodowym podkreślona jest stanowiskiem Naczelnego Dyrektora „Polskiego Radja", p. dr. Z. Chamca, który od kilku lat piastuje w Unji godność prezesa Komisji Międzynarodowej Wymiany Programów. W ten sposób inicjatywa polska w dziedzinie radjofonji rzucona w eter kilka lat temu, przyśpieszyła wykorzystanie radja dla nawiąznia przyjaznej współpracy między towarzystwami radjowemi wszystkich krajów i oddziaływania w odpowiednim duchu przez wymianę programów na społeczeństwa tych krajów.

CZWARTEK

31 marca

12.15 — „Najnowsze poglady na sprawy obornika" — wygł. prof. dr. M. Górski. **12.35** — **Poranek dla młodzieży** z Filharmonji Warsz. **14.45** — Płyty. **15.25** — **Odczyt** dla maturzystów. **15.50** — Program dla dzieci. **16.20** — Lekcja francuskiego. **16.40** — „Kacik młodych talentów" **17.10** — „Przepowiednie Mickiewicza" — prof. Pigoń. **17.35**—Koncert solistów: M. Barmas (skrz.). L. Robowski (fort.). E. Nарożny (bar.) i prof. Urstein (akomp.) **18.50** — oRzmaitości. **19.15** — „Skrzynka poczt. rolnicza". **19.30** — Wiad. sport. **19.35** — Płyty. **19.45** — Pras. Dzien. Radj. **20.00** — Felj. p. t.: „Imię — zwierciadłem człowieka" — red St. Czosnowski. **20.15** — Muzyka lekka w wyk. ork. pod dyr. St Nawrota. M. Janowski (ten.) **21.20** — Słuchowisko p. t. „Gołebie serce" J. Galsworthy'ego. z udziałem St. Jaracza. **22.10** — Tr. z teatru „Morskie Oko". Rewja p. t. „Złota defilada". **23.20** — Komunikaty. **23.30** — Muzyka taneczna z kaw. „Georges".

OGŁOSZENIA: Za wiersz milim. szerokości szpalty red.: W tekście 60 gr., reklamy 40 gr., nekrologi do 50 mm. 20 gr., do 150 mm. 40 gr., wyżej 50 gr. Zwyczajne (6 szp.) 15 gr., tabel. i cyfrowe (6 szpalt) 35 gr. Drobne za wyraz 15 gr. Posady i prace (poszukiwane) za wyraz 8 gr. Ogłoszenia fantazyjne i firm zagranicznych o 100 proc. drożej. Za terminowy druk ogłoszeń admin. nie odpowiada.

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

PRENUMERATA: W Warszawie z odnoszeniem do domu oraz na prowincji miesięcznie zł. 5. Zagranicą mies. zł. 10. Zmiana adresu 50 gr. KONTO CZEKOWE P. K. O. Nr. 8575

Wyd.: POL. POWSZ. SP. WYD. Drukowano w „Drukarni Mazowieckiej". Szpitalna 1. Redaktor odpowiedzialny: ST. TELSZEWSKI